

Żyłem jak umiałem

Teofil Lenartowicz

Mając spory bagaż lat często wracam wspomnieniami do dziecięcych i młodzieńczych lat. A były to lata niezwykle trudne, wywierające wpływ na całe moje życie.

Mam to szczęście, że nie zatarły mi się w pamięci przeżyte chwile, zapisałem je, zarchiwizowałem i w miarę możliwości potrafię je udostępnić. Stało się tak dzięki wydarzeniom sprzed laty, kiedy leżąc na szpitalnym łóżku, zostałem nawiedzony nakazem opatrności, zapisania wszystkiego co przeżyłem. Okoliczności owego nakazu były tak niezwykle i tak mocne wywarły na mnie wrażenie, że nie spełnienie nakazu uznałem za niemożliwe i musiałem wprowadzić go w czyn. Dostałem przy tym takich sił, które pozwoliły mi pokonać wszystkie przeszkody tak zdrowotne, jak i techniczne - w opanowaniu komputera łącznie z przynależnymi doń urządzeniami, programami i Internetem. Dzisiaj po 90 latach życia jest to spory dorobek, którym mogę się pochwalić.

Wszystko co przeżyłem w latach 1938-1955, a więc kiedy byłem w przedziale wieku 10-27 lat ukształtowało mój charakter i nastawienie do wszystkiego, co się wówczas działo. Graniczę z pewnością, że trudno będzie komukolwiek zrozumieć i uwierzyć, że jako 20-kilkuletni młodzieniec mogłem być tak ważnym uczestnikiem wydarzeń z lat Stalinowskiego terroru. Pisząc te słowa nie mogę zrozumieć, jakie siły pchają mnie do tego, aby publicznie podzielić się swymi przeżyciami, wiedząc że nie będą wiarygodne. Jednakże nie mogąc się oprzeć potrzebie opowiedzenia swych przeżyć, postaram się je poniżej, w ogromnym skrócie przedstawić.

Zacznę od przyjsia na świat w maju 1928 roku w Katowicach, a w wieku 10 lat wyjechałem z rodzicami na obecne Podkarpacie w rodzinne strony ojca, gdzie w warunkach wiejskich spędziłem 10 lat życia. Spowodowało to, że wchodząc w dorosłe życie miałem wyrobiony pogląd tak na życie w mieście, jak i na wsi. Rodzice nie byli wykształconymi ludźmi, ani zamożnymi żyjącymi w komforcie. W Katowicach mieszkaliśmy w czynszowym domu, wprawdzie przy głównej ulicy Jagiellońskiej, ale ubikację i wodę mieliśmy na podeście, wspólną na 4 mieszkania. Mieszkanie składające się z jednego pokoju i kuchni ogrzewane było w piecach węglem, podobnie odbywało się gotowanie straw i bielizny w kuchni. Tylko mniejsze potrawy mogła mama gotować na maleńkiej gazowej kuchence. Wodę nosiła mama po schodach z niżej leżącego podestu, a węgiel z piwnicy na drugie piętro, gdzie mieszkaliśmy. Był w mieszkaniu jeszcze jeden maleńki pokoi, ale rodzice wynajmowali go, aby mieć dodatkowo kilka złotych.

Ojciec pochodził z małego miasteczka Przeclaw w powiecie Mieleckim, a mama przybyła tam z Ukrainy służąc hrabiankom Reyów, których rodzice mieli bogate włości tak na Ukrainie, jak i w Przeclawiu.

Tata z mamą poznali się na początku lat 20-tych. Ślub wzięli w 1923 roku w Katowicach, gdzie tata podjął prace jako woźny w PKO. Ojciec był człowiekiem chorowitym i w zasmrodzonym powietrzu w Katowicach zapadł na gruźlicę. Poszedł w 1938 roku na rentę, którą nie wiadomo dlaczego nazywaliśmy emeryturą. Wyjechaliśmy do Przeclawia, gdzie ojciec po rodzicach miał dom z ogrodem i niewielki kawałek pola. Mama przeciwna była wyjazdowi do Przeclawia znając trudy tamtejszego życia. Jej argumentem było także to, że starsza 4 lata moja siostra, mając 8 klas szkoły podstawowej i jedną gospodarczą, nie miała szans na naukę i dalszy awans społeczny. Przeważała argumentacja trudnej sytuacji politycznej, w której Ślązacy coraz mniej przychylnie spoglądali na nie będących Ślżakami, zwanych przez nich gojami.

Perspektywa wyjazdu do Przeclawia była dla mnie niezwykle urokliwa. Opowieści ojca, że będziemy mieli kotka, kurki, gołębie, krówkę i świnkę była tak zachęcająca, że marzyło mi się, aby tam jak najszybciej pojechać. Przypominało mi to bowiem wakacje z mamą i siostrą na wsi w górach. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że z życiem wiejskim

skończy się dla mnie dziecięce życie, a po wybuchu wojny zaczniesz trud ciężkiej pracy, walka o byt, przetrwanie i życie. Nie wiedziałem, że zaczniesz się głód, będzie istniał ciągły strach, ucieczki przed łapankami i wywózką do Niemiec.

Wkrótce po zamieszkaniu w Przeclawiu prysnął czar życia wiejskiego. Zamieszkaliśmy w domu pod strzechą, gdzie nie było elektryczności, do ubikacji chodziło się do wychodka stojącego za domem. Po wodę pitną należało chodzić do studni sąsiadów, tylko na inny użytek mogliśmy ją wyciągać z własnej studni. Wokół domu panowały nocą „egipskie ciemności” a po deszczu wszędzie było takie błoto, że wyjście z domu graniczyło z utratą obuwia. Światło w mieszkaniu mieliśmy ze smrodzącej lampy naftowej, w której ciągle należało poprawiać knot, a widoczność z niej była ograniczona. W domu przebiegała na wylot szeroka sień o podłożu klepiska, do której można było wjechać ze snopkami zboża i podać je widłami na strych. Przed domem znajdowało się gnojowisko, gdzie ze stajni przy domu wynosiliśmy gnoj i inne nieczystości.

Kiedy ojciec kupił krówkę, drób, świnkę i króliki czar prysnął zupełnie. Część opieki należała już do mnie, a najgorszą sprawą okazała się krówka, którą musiałem wcześniej rano wyprowadzać w pole. Przeżywałem gehennę, kiedy trzymając na sznurze pasłem ją na miedzy, a ona po ukąszeniu bąka zrywała mi się i z ogonem zadartym do góry uciekała robiąc sąsiadom szkodę w polu. Właściwie to była pokornym bydlęciem i za mamą chodziła jak piesek, jednak dla mnie stała się rogatym potworem.

Poszedłem w Przeclawiu do 4-tej klasy, ale poziom nauczania okazał się niższy, bo uczyłem się tego co znałem z 3-ciej klasy w Katowicach. Szkoła do której chodziłem była jeszcze nie wykończona, stała w rynku, a nauka odbywała się tylko w kilku klasach na parterze. Do 4-tej klasy chodziły dzieci w moim wieku, ale także o rok starsze. Nowością były koleżanki, które miałem w klasie, gdyż w Katowicach chodziłem do szkoły koedukacyjnej, gdzie w klasie byli sami chłopcy. Miałem nowych kolegów i koleżanki, z niektórymi się zaprzyjaźniłem, natomiast inni wołali za mną przyzwiska, jakie posiadał wcześniej mój ojciec.

Skończyłem 4-tą klasę w 1939 roku i to w praktyce było końcem mojej dziecięcej edukacji. Rozpoczęła się ciemna noc okupacji niemieckiej. Byliśmy w Generalnej Guberni, gdzie pod panowaniem Niemców był największy reżim. Szkoła latem była nieczynna, bo zajmowały ją wojska Wehrmachtu i było tak w następnych latach, kiedy Niemcy szykowali się do inwazji na Związek Radziecki. Tylko od czasu do czasu otwierano podwoje szkoły, ale nie było w niej przedmiotów historii Polski i geografii, bo Niemcy je zakazali. Zimą szkoła była zamykana, bo nie było opału na ogrzewanie. Taką podstawową szkołę ukończyłem w 1942 roku.

Od początku okupacji niemieckiej naszą rodzinę nawiedzały nieszczęścia. Późną jesienią 1939 roku spalił się nasz rodzinny dom i zostaliśmy bez dachu nad głową. Dopiero po większych staraniach ojca umieszczono nas w zniszczonym, opuszczonym przez właściciela domu, gdzie na jedną połowę umieszczono nas, a na drugiej zamieszkała przesiedlona skądś kilkupokoleniowa duża rodzina żydowska. Nie minęło kilka tygodni, a wpadło do nas Gestapo i zabrało ojca do Mielca. Stało się tak, bo jeden z sąsiadów doniósł, że widział po pożarze nasze radio u sąsiada. Niemcy ustanowili nakaz zdawania sprzętu radiowego, aby Polacy nie mogli go słuchać. Ojciec radia nie zdał i chociaż było to radio lampowe na prąd elektryczny, którego w Przeclawiu nie było, to ojca zabrano na Gestapo do Mielca. Przesiedział tam przez 5 miesięcy, a po wyjściu nie chciał opowiadać co przeżywał, jednak można było się domyśleć. Dobrze że było to jeszcze na początku okupacji, bo gdyby było później, kiedy reżim hitlerowski wzrastał się, to ojciec niechybnie zginąłby w obozie koncentracyjnym.

Zapanował w naszej rodzinie głód, bo z małego kawałka pola nie mogliśmy przeżyć, a musieliśmy Niemcom oddawać kontyngent zboża, mięsa i mleka, których nie mieliśmy.

Ojciec po wyjściu z więzienia, chociaż był chory, to dwoił się i troił, aby zapewnić nam byt. Było tak, że brał naszą przywiezioną z Katowic odzież i wymieniał na żywność chodząc po okolicznych wioskach. Mieliśmy krówkę w wynajętej stajence, do której chodziliśmy, ale krówka była jałowa, nie doiła się, bo przez kilka lat nie miała cielątka. Ojciec wpadł w konflikt z urzędnikami gminy wysługującymi się Niemcom, bo nie kumplował się z nimi przy kieliszku i stąd dostawał wyższe wymiary kontyngentu, wymierzano mu kary grzywny, wymierzano za karę wielodniowe warty nocne, grożące tym, że gdyby coś się w nocy stało, a nie zaalarmował policji, to groziła mu śmierć. Nachodzono ojca bijąc po twarzy. Do dzisiejszego dnia mam na to dowody z podpisami tych wysługujących się Niemcom ludzi. Są to upomnienia, nakazy karne, pokwitowania zapłaconych kar, oraz kilka zeszytów z zapisanymi ręką ojca wydarzeniami z tamtych czasów. Musieliśmy wszyscy bardzo ciężko pracować, także u sąsiadów, którzy za nas oddawali Niemcom kontyngenty mleka i mięsa, a my musieliśmy im to odpracować w polu.

Kiedy skończyłem w 1942 roku 14 lat było jeszcze gorzej, bo natychmiast zostałem wystawiony na listę wysyłanych do Niemiec na tzw. przymusowe roboty. Pierwszy raz ojciec wykupił mnie kilogramem masła danego w postaci łąpówki lekarzowi z komisji lekarskiej w Dębicy, a on podłożył zdjęcie ojca płuc pod moje dokumenty i zwolniono mnie z transportu wysyłanych do Niemiec ludzi. Nie uchroniło mnie to jednak przed zagrożeniem i musiałem pójść do pracy w tzw. firmie Sztikel, która budowała szosę do pobliskiej Blizny, gdzie Niemcy robili próby ze swoją bronią V-1 i V-2. Chodziłem tam ze swoimi rówieśnikami około 7 kilometrów. Dostawałem potężny ciężki młot i około 1 m³ granitowych wielkich kamieni, po rozbiciu których na drobne kawałki, mogłem wracać do domu. Najgorzej było zimą, bo idąc w drewniakach po zaśnieżonych ścieżkach, co kilka kroków należało odbijać spod drewniaków zbity śnieg. Następnie pracowałem w pobliskim tartaku, gdzie nie oszczędzano mnie przy noszeniu ciężkich kłoców i pracy w piwnicy skąd w bardzo zapyłonym pomieszczeniu musiałem wynosić suche trociny. Kiedy ciągle kaszlałem i wydobywały mi się z płuc kluski z trocin, byłem pewien, że tak jak ojciec zapadłem na gruźlicę. Trawiłem w sobie ów niepokój, nie chcąc rodzicom przysparzać kłopotów. Uległem wypadkowi w tej pracy, bo ciężki kloc spadł mi na nogę.

Następnym kłopotem było schwytnie mnie w łąpance przez Niemców, kiedy pojechałem z siostrą do cioci w Mielcu. Siostrę zwolnili, bo była już mężatką i udowodniła to, natomiast mnie wsadzono do bydłowego wagonu w transporcie. Dzięki temu, że było lato i gorąco, drzwi wagonu były otwarte, a pilnujący nas szwab zasnął w nocy. Zobaczywszy, że dwoje wyskakuje w ciemną czeluść drzwi, zrobiłem to samo. Myślałem że zginę, bo pociąg się zatrzymał, puszczone psy i słyszałem strzały. Poobijany uciekałem, aż z braku sił padłem w mokrych krzakach i zasnąłem. Zbudziło mnie słońce, wówczas unikając większych skupisk ludzkich szedłem na wschód nie wiedząc, gdzie się znajduję. Latem żywności w polu i w lasach było w bród, więc nie czułem głodu. Po dwóch dniach wróciłem do domu, gdzie sprawiłem rodzicom niesamowitą radość. Wówczas dowiedziałem się, że kiedy siostra po schwytniu wróciła do domu, a rodzice dowiedzieli się, że mnie zabrano, to mama poszła do Dębicy, aby się ze mną jeszcze pożegnać. Transport już odszedł, a mama wracając została potrącona przez jadące z Niemcami auto i poobijana resztką sił wróciła do domu.

Dwukrotnie pracowałem też w firmie volksdeutscha Stefki, mianowanego przez Niemców komisarzem gminnym w Przeclawiu. Najpierw wycinając wiklinę z nad Wisłoki, a przed końcem okupacji kopiąc rowy melioracyjne w pobliskich wioskach. Praca dla Niemców nie zapewniała zagrożenia przed wywózką do Niemiec. Dlatego kiedy przeczuwaliśmy, że przyjdzie w nocy łąpanka, to spałem poza domem i często w lesie. Wysługujący się Niemcom złośliwie nasyłali na nas nocą pijanych strażaków OSP. Pamiętam jak bałem się w nocy, kiedy zakopany na strychu w sianie, czułem że chodzą po mnie dźgając czymś w siano. Zbito wówczas bardzo ojca, bo łóżka po mnie i siostrze były ciepłe, co świadczyło że uciekliśmy.

Niemcy zarządzili obowiązek posiadania przez mężczyzn dokumentów identyfikacyjnych. Obowiązek ten spadł także na mnie, chociaż nie miałem jeszcze 16 lat.

Szwagier mój pracował jako murarz w pobliskiej Lignozie. Był to kompleks zakładów chemicznych, wyrzutni rakiet w Bliźnie, obozu koncentracyjnego i dwóch poligonów wermachtu i SS, a w centrum ostatniego przeprowadzano próby z bronią V-1 i V-2. Opowiadał, że kiedy przywieziono do obozu ponad 5 tysięcy jeńców sowieckich, to w przeciągu kilku miesięcy zamęczono ich na śmierć głodem, mrozem i nieludzkim traktowaniem. Przeclaw był przepelniony nie tylko żołdactwem niemieckim, ale wysiedleńcami z pobliskich wiosek, które Niemcy ewakuowali pod budowę obiektów wojskowych na terenie Blizny i poligonów. Było też dużo wysiedlonych Polaków z poznańskiego, których Niemcy wyrzucili do Generalnej Guberni, bo nie podpisali volkslisty.

Z każdym rokiem było gorzej. Na niebie obserwowaliśmy wystrzeliwane z Blizny rakiet V, które przygnębiająco działały, potwierdzając potęgę Niemiec, a wraz z nią naszą zgubę. Jedynym pocieszeniem były wieści, że zbliża się front wschodni. Niemcy nie przyznawali się do klęski pod Stalingradem, a tylko wycofywanie się na „z góry upatrzone pozycje”. Natomiast oficjalnie Niemcy głosili na cały świat, że odkryli w Katyniu groby masowo pomordowanych polskich oficerów wziętych do niewoli przez Sowieców po ich napaści z Niemcami na Polskę. Była to dla naszej rodziny przerażająca rzecz, bo istniała obawa, że mógł tam zostać zamordowany ojca brat Henryk służący na polskich Kresach Wschodnich w policji. Śledziliśmy w wydawanej przez Niemców gazecie setki nazwisk, które zidentyfikowane odkryto w grobach. Stryja nazwiska w tych wykazach nie znaleźliśmy. Dopiero wiele lat po wojnie poznałem losy stryja, który dostał się do Armii Andersa, jednak wojny nie przeżył. Napisałem książkę, o tym co przeżywał na zesłaniu w Związku Radzieckim i opisałem jego męczeński szlak, aż do dnia śmierci.

Okropne rzeczy wyczyniali Niemcy z Żydami. Od 1942 roku, kiedy zaczęto masowe egzekucje, bezprawie zapanowało wszechwładnie. Uciekających i ukrywających się Żydów wydawano Niemcom nie tylko przed grożącą karą śmierci, ale także z chęci zysku. Bezprawie i terror wzrastał. W miarę upływu czasu nasilały się dywersyjne akcje Armii Krajowej. Zaczęto od golenia głów dziewczętom zadającym się z Niemcami, po coraz liczniejsze akcje zbrojne. Pocztą pantoflową dowiadywaliśmy się, to o wyroku na policjanta czy donosiciela, zbyt solidnie pracujących na rzecz Niemców, a także napadów na samych Niemców. Ze względu na próby nad bronią raketową V w Bliźnie i ważne pod względem strategicznym lotnisko z zakładem budowy samolotów w Mielcu, ruch partyzancki AK był tam szeroko rozwinięty. Dopiero po wojnie dowiadywaliśmy się szczegółów wykradania Niemcom tajemnic rakiet V.

Z nadejściem roku 1944 byliśmy już pewni, że wkrótce zbliży się do nas front i nadejdzie wyzwolenie z hitlerowskiego jarzma. Wprawdzie zdawano sobie sprawę z sowieckiego zagrożenia, a w mojej rodzinie wiedzieliśmy o tym od stryja Henryka, służącego w policji w Bereźne nad Słuczem na granicy z Sowiecami. Opowiadał o tym, kiedy odwiedzał nas w Katowicach. Był postrzelony przez sowieckiego bandziora i miał po wyleczeniu przyjechać do nas w Przeclawiu 1-go września 1939 roku. Jednak w tym dniu Niemcy napadli na Polskę, a Sowieci 17-tego i od tej pory nie udało się zdobyć ojcu wiadomości o losie brata. Tak czy inaczej w społeczeństwie polskim znane było sowieckie zagrożenie, bo pamiętano napad na Polskę w 1920 roku i z jakim trudem nasza niepodległość została obroniona. Jednakże mając świadomość, że po Żydach nadejdzie kolej na nas, liczyliśmy na lepszy los pod panowaniem sowieckim.

Najgorsze było jednak przed nami, bo nadszedł dzień 1 sierpnia 1944 roku. Nie wiedzieliśmy wówczas, że w tym dniu wybuchło Powstanie Warszawskie. Jednak w powietrzu wisiało zagrożenie, bo nasilił się ruch partyzancki. Kwaterujący u nas żołnierz niemiecki zwiął w popłochu na rowerze. Niemcy nasilili warty stawiając na moście przez

Wisłokę patrol. Partyzanci AK zlikwidowali patrol, co następnego dnia spowodowało odwetową akcją Niemców. Otoczyli Przeclaw i strzelali do wszystkiego co się ruszało, a dla naszej rodziny najgorsze było to, że będący w polu ojciec zginął od tych szwabskich kul. Niemcy powyciągali z domów mężczyzn. Postawili na rynku pod pomnikiem świętego Jana Nepomucena, ustawili przed nimi karabin maszynowy i miała nastąpić masowa egzekucja. Chyba tylko Święty Jan spowodował, że do tragedii nie doszło. Dyrygujący Niemcami oficer był wiedeńczykiem, a podszedł do niego jeden z mieszkańców Przeclawia. Zagadnął do niego austriackim akcentem, wylegitymował się, że był śpiewakiem wiedeńskiej opery i zapewnił oficera, że nie ma partyzantów wśród 50-ki ustawionych mężczyzn. Serce oficera zmiało, Niemcy zabrali tylko 5-ciu zakładników i odjechali.

To co powyżej w kilku zdaniach opisałem stanowi w moich Wspomnieniach dziesiątki zapisanych stron. Są to relacje, wspomnienia także dowódcy oddziału partyzanckiego Aleksandra Rusina ps. Rusal, i Olek, pod dowództwem którego byli żołnierze likwidujący patrol na moście.

Śmierć ojca była dla mnie ogromnym przeżyciem. Doznawałem zwiędów, że ojciec wrócił do domu po śmierci, a ja ze strachu uciekłem przed nim. Często nawet teraz widzę w snach wylewający się w ziemię mózg z czaszki ojca. Miałem wówczas 16 lat i ogromne poczucie winy za, jak mi się wydawało nieposłuszeństwo wobec ojca.

Po śmierci ojca wypadki następowały bardzo szybko. Front zbliżał się i po kilku dniach pociski artyleryjskie zaczęły świstać nad naszymi głowami. Sowietci jak najszybciej chcieli odbić hitlerowskie obiekty militarne, a szczególnie poligon w Bliźnie z raketami V i wyrzutniami.

Jest to bardzo szeroki temat poznawany po wojnie, o którym niewiele wie, że to oddziały partyzantki Armii Krajowej pierwsze odbiły z rąk Niemców obiekty rakiet V, nie dopuszczając do ich wysadzenia przez oddziały minerów. Dokonały tego 3 oddziały z obwodu mieleckiego AK.

Wracając do wydarzeń własnych przeżyć, trafiony pociskiem na naszej ulicy spalił się już dom sąsiadki Kamili Grębosz, a w drugim trafionym pociskiem zginął sąsiad Armatys. Dom nie zapalił się, tylko towarzyszył temu obłok białego puchu unoszącego się z domu. Kiedy wpadłem tam, zobaczyłem leżące jego ciało przysypane puchem z rozerwanych od wybuchu pierzyn. Niemcy wysadzili już most na Wisłocy i wypędzali nas z domów, abyśmy się wynosili dalej na zachód. Siostra była w 7-mym miesiącu ciąży, a jej mąż nie potrafił podjąć męskiej decyzji. Ostatecznie powynosiliśmy meble przed dom, mama rozpuściła znajdujący się drób, zabraliśmy krówkę na sznur, dobytek na plecy i wyruszyliśmy w nieznane. Dotarliśmy do 7 km oddalonej wsi Łączki Brzeskie, gdzie znaleźliśmy Piotra Sypra znanego jeszcze przez dziadków Lenartowiczów. Ulokowaliśmy się u niego w stodole, gdyż w domu o jednej izbie z klepiskiem i dużym piecem, w stodole był większy komfort. Wraz z nami był nasz sąsiad Trzaskot z rodziną, a w innych domach mnóstwo uciekinierów z różnych miejscowości. Spędziliśmy tam około 10 dni, do czasu kiedy oddział SS przyjechał i zaczął palić wioskę z nakazem opuszczania domów i wynoszenia się dalej. Poszliśmy w kierunku południowo zachodnim i dotarliśmy do wsi Mokre. Ulokowaliśmy się u bogatego gościnnego gospodarza także w stodole. Miał on wykopany poza domem obszerny schron i obiecywał, że zapewni nam w nim schronienie. Po kilku dniach zjawily się mocno uzbrojone oddziały SS. O dziwo, okazało się że są to francuzi służący Niemcom. Po wojnie dowiedziałem się, że Niemcom służyła dywizja SS składająca się właśnie z Francuzów. Córka gospodarza znająca język francuski wdzięczyła się do tych esmańskich szmat. Od niej dowiedzieliśmy się, że zabezpieczając mają jakąś niemiecką brygadę pancerną, która z południa przez kompleksy leśne przebiegać się ma na północny zachód. Zanosilo się na niezłą orkiestrę. Tył wioski sąsiadował z doliną, w której mieszkańcy zgromadzili cały swój żywy inwentarz. Konie i bydło uwiązano do zamocowanych kołków i przywiązano. Także mama uwiązała tam naszą

krówkę. Kiedy nastąpił artyleryjski ostrzał schroniliśmy się wraz z gospodarzami i naszymi sąsiadami do owego schronu. Nie daje się opisać tego co przeżyliśmy przez 2 dni i 3 noce. Na nasz schron spadło kilka pocisków z sowieckich minomiotów i artyleryjskich pocisków. Słyszeliśmy hurgot jeżdżących nad naszymi głowami czołgów. Spadająca na głowy ziemia wzmagała zagrożenie. Trwały lamenty i modły o przeżycie. Najgorzej było z siostrą, która nosiła w łonie ośmiomiesięczną córeczkę. Ostatniej nocy sąsiad Trzaskot nie wytrzymał i wybiegł ze schronu. Kiedy nadszedł świt, ktoś na zewnątrz krzyknął. Rosjanie już są. Po wyjściu zobaczyłem uśmiechniętą twarz żołnierza sowieckiego. Na zewnątrz rozpościerał się przerażający obraz zniszczeń. Nie widziałem ani jednego zabudowania tej bogatej wsi, jedynie dopalające się zgliszczka. Niemieckie czołgi broniły się zza domów, a kiedy został wymacany przez artylerię i dom spalony, czołg przetaczał się pod następny dom. Pobiegliśmy do dolinki, gdzie schroniliśmy naszą krówkę i zobaczyliśmy przerażający obraz bydła i koni z zadartymi do góry nogami i rozdętymi z upału brzuchami. Po naszej krówce pozostał jedynie urwany sznur. Ponieważ nie był to koniec bitwy, Sowieci wypędzali nas, że Niemcy mogą znów wrócić. Pozbieraliśmy w płachty swój lichy dobytek, zarzuciliśmy na plecy i ruszyliśmy w drogę do domu.

Widzieliśmy całą masę sowieckich żołnierzy, ale żaden z nich nie miał na głowie hełmu, a przecież był to front. Prezentowali się nie jak karne wojsko, lecz jak banda w różnych mundurach mężczyzn. Niektórzy chodzili w niemieckich mundurach wermachtu, które ściągali z wziętych do niewoli, lub zabitych Niemców. Widziałem tylko jednego zabitego i obdartego z munduru Niemca, natomiast mnóstwo rannych sowieckich żołnierzy.

Kiedy dotarliśmy do domu, mogliśmy jedynie zapłakać. Meble przewracane i podziurawione odłamkami pocisków. Dom splądrowany, a sprzęt domowy zniknął, lub był zniszczony. Nawet siana na strychu nie było. Nie było drobiu rozpuszczonego przez mamę. Dopiero wieczorem wróciła jedna kokoszka. Wokół było pełno wojska, stacjonowali w naszym mieszkaniu, więc poszedłem spać do stajni. Na podwórku rozlokowała się w samochodzie drukarnia służąca wojsku do bieżących propagandowych informacji frontowych.

Kilka dni później mama poszła na odległą o kilkanaście kilometrów wieś Mokre z nadzieją, że odnajdzie naszą krówkę i sprowadzi do domu. Odradzaliśmy jej to, gdyż niebezpiecznie było zbliżać się do linii frontu i wręcz niemożliwe odnalezienie krówki. Jakież było nasze zdumienie, kiedy mama przed wieczorem przyprowadziła ją do domu. Udowodniła nam, że należy do końca walczyć w każdej sprawie, nawet wydającej się niemożliwą. Nie było jednak z krówki pożytku, gdyż była po brzuchu pocięta odłamkami pocisków. Wymieniliśmy ją z Sowietami na inną za pół litra bimbru. Prowadzili oni za frontem stada bydła w celu zaopatrzenia w żywność. Zabierali je ludności z zajętych terenów.

Nastał czas w którym nie czuło się bezpieczeństwa podobnie jak za Niemców. To żołdactwo z liczną ilością żołnierek zachowywało się nie licząc się z nami. Mnożyły się gwałty i rabunki. Po kilku tygodniach wpadło do Przecławia NKWD i wywieźli do Związku Radzieckiego na zesłanie wielu mężczyzn, którzy nie byli nawet w AK i nie wiedzieli po co zostali zesłani. Jednym z nich był brat szwagra Marian Wajs. Mnożyły się bandy rabunkowe, w których wielu młodych ludzi widziało jedyny sposób na życie. Dotarła do nas wiadomość, że w dniu kiedy zginął nasz ojciec wybuchło i trwa Powstanie Warszawskie, gdzie oddziały AK walczą z Niemcami, aby wyzwolić Warszawę i ustanowić własną strukturę władzy przed wkroczeniem Sowietów.

W październiku 1944 siostra urodziła dorodną córeczkę Olgę. Szwagier z narażeniem życia biegł na sąsiednią wieś Podole po akuszerkę. Chodzenie nocą w strefie przyfrontowej nie było bezpieczne, bo jakkolwiek patrol mógł go zastrzelić bez ostrzeżenia. Miesiąc później szwagier zgłosił się ochotniczo do wojska z obawy przed wywózką NKWD na zesłanie do Związku Radzieckiego, co było normalnym zjawiskiem w tamtym czasie. Podobnie robiono z wychodzącymi na mocy amnestii partyzantami. Najpierw ich rozbrajano

i rejestrowano, a po kilku dniach wpadało NKWD i aresztowało i często mordowało. Pomagały w tym uruchomione struktury UB wywodzące się z kryminalistów i marginesu społecznego.

Dla mnie życie tylko z mamą i siostrą z niemowlęciem trwało w ciągłym strachu. Pamiętam jak dwóch pijanych oficerów sowieckich dobierało się do siostry z zamiarem gwałtu. Na szczęście przyszedł trzeci i wyprowadził ich. Były to czasy takiego bezprawia, że sąsiad sąsiada mógł zabić i nikogo to nie interesowało. W dodatku w lasach grasowały liczne bandy rabunkowe, a ich rabunki UB zwały na partyzantów AK wchodzących ponownie do podziemia. Na tamtym terenie za Niemców nie istniała partyzantka lewicowa, czy tzw. Narodowych Sił Zbrojnych. Istniała tylko Armia Krajowa i Bataliony Chłopskie, które zjednoczyły się później z Armią Krajową.

Wśród nieobliczalnego żołdactwa i w ciągłym strachu o życie i małą Olgę spędziliśmy pełne 5 miesięcy, gdyż front na całej linii zatrzymał się na Wiśle i Warszawie, a od nas około 20 km na zachód. Sowietci zdobyli swoje strategiczne cele, musieli podciągnąć własne tyły, a także poczekać, aż Niemcy stłumią i wymordują Powstańców Warszawskich i zniszczą naszą stolicę. Było tak aż do połowy stycznia 1945 roku, kiedy ruszyło tzw. po rosyjsku наступienie. Przeclaw opustoszał z wojska, a my wartko zabraliśmy się do zabezpieczenia resztek dobytku. Wreszcie ze stajni przeprowadziłem się z noclegiem do domu, a kiedy zajrzałem do szafy, okazało się że stoi tam 5 karabinów. Bynajmniej nie martwiłem się tym, ale przeczona mama zgłosiła ten fakt na komendanturę sowiecką. Myśleliśmy, że przyjdą i zabiorą karabiny, ale nikt się nie zjawił. Dopiero po zgłoszeniu na posterunku MO, przyszedł milicjant i zabrał broń.

Oboje z mamą ciężko pracowaliśmy. Nosiliśmy na opał suchą paproć i klocki drewna z odległego o 2 km lasu. Paprocią ocieplaliśmy ściany domu, aby nie wiał chłód do wewnątrz, a klocki rąbaliśmy na opał. Następowala stopniowa normalizacja. Mama nawet zadbała o uzupełnienie mojej edukacji. Na jej prośbę zapisałem się odpłatnie na kurs przygotowawczy do szkoły średniej. Nie były to czasy aby można było kupić książkę, zeszyt, lub cokolwiek. Zszywałem sobie nitką znalezione luźne kartki i w takim zeszycie robiłem zapiski. Niestety miałem takie zaległości, że nic na zajęciach nie rozumiałem, a nauczyciel powiedział, że jestem ostatnim nieukiem i nic ze mnie nie będzie. Zniechęciłem się i na tym zakończyłem edukację. Kiedy w maju 1945 skończyła się wojna, szwagier Ludwik wrócił z wojska i zabrał siostrę Marysię z córką Olgą na Ziemię Zachodnie. Żołnierze po zdemobilizowaniu dostawali na Ziemach Zachodnich ponemieckie domy, mieszkania i gospodarstwa rolne. Szwagier z żoną i córeczką wyjechali do Złotego Stoku, gdzie dostali mieszkanie i pracę w fabryce zapalek.

Żyłem od tej pory w Przeclawiu tylko z mamą. Mama była przysłowiową pszczołką do pracy. Przyznano jej po ojcu niewielką emeryturę. Natomiast ja podejmowałem dorywczą pracę w Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska. Rozładowywałem wagony z przychodzącym cementem i wносиłem go do magazynu. Z kawałka pola, ogrodu i krówki mieliśmy żywność, a zarobione pieniądze odkładaliśmy jak się to mówi na czarną godzinę.

Tak wyglądało moje młode życie zanim ukończyłem pełnoletniość. Ukończyłem 18 lat w 1946 roku i był to dla mnie z mamą dobry czas. Tak się złożyło, że zmarł miejscowy listonosz i naczelnik poczty zaproponował mamie posadę listonosza dla mnie. Było to dla nas niesamowite wyróżnienie świadczące o naszej uczciwości i innych zaletach. Chodziło przecież o doręczanie pieniędzy i listów z Ameryki, w których zmęczeni wojną ludzie dostawali od swych rodzin dolarową pomoc w listach. Były to bowiem czasy, kiedy każdy dolar, dla tych biednych galicyjskich rodzin był ogromną pomocą finansową. O tych, którym się lepiej powodziło, mówiło się z zazdrością, że oni mają Amerykę. Wielu moich kolegów zazdrościło mi awansu na listonosza.

Do moich obowiązków należało roznoszenie poczty w Przeclawiu i przyległej do Przeclawia wiosce Błonie. Miałem też dwa razy dziennie odbierać pocztę z ambulansu pocztowego pociągu PKP z przystanku kolejowego oddalonego od Przeclawia 1,5 km. Jednocześnie przyjeżdżał koniem wozak nazwiskiem Stefan Szewc, zabierał odebrane z pociągu paczki i listy w zaplombowanych workach i zawoziliśmy na pocztę. Wymagana była w tej pracy punktualność. Tylko ja miałem potwierdzoną przez naczelnika Sobotę Kartę Przewozową na podstawie której mogłem w ambulansie wymienić pocztę. Poprzez kilka lat pracy w tym charakterze, nie zdarzyło się ani mnie, ani wozakowi Szewc, przyjeżdżającemu z domu odległego 4 km, abyśmy z powodu spóźnienia nie odebrali poczty. Były trudności, kiedy Wisłoka zabierała prowizoryczny drewniany most zbudowany przez sowieckich saperów. Most ten był kilkakrotnie zrywany przez krę. Następny drewniany budowano ponownie, to z jednej to z drugiej strony żelaznego mostu leżącego jedną stroną w rzece. Zdarzało się, że zimą przeskakiwałem z jednej kry na drugą i przechodziłem na drugą stronę Wisłoki, aby wymienić w ambulansie przynajmniej worek z pocztą. Nie pamiętam dokładnie kiedy podniesiono z wody most żelazny, ale było to prawdopodobnie w 1947 roku. Pamiętam natomiast, że jeden z monterów ożenił się ze starszą ode mnie koleżanką Kazią Dutkiewicz. Po jakimś czasie Sobota zarządził, abyśmy zamieniali się obowiązkami z drugim listonoszem o nazwisku Marian Ulanowicz. Wówczas ja chodziłem na odległe wioski: Podole, Łączki Brzeskie, Wylów, Kądziołki, Wólkę Błońską i Wólkę Podolską, a on przejął moje obowiązki.

Poznawałem tam ludzką biedę panującą jeszcze od zaboru austriackiego. Maleńkie poletka lichego gruntu. Ludzie mieszkający w chatach pod strzechą z klepiskiem i ogromnym piecem w izbie spełniającym zimą rolę sypialni dla całej rodziny. Chaty oddalone często o kilkaset metrów bez elektryczności, gazu, kanalizacji, telefonu, kościoła, cmentarza, lekarza. Kompletny brak z tymi wioskami komunikacji, a więc całkowity brak dostępu do rynku pracy. Żywiono się jedynie kapustą, ziemniakami, mlekiem, chlebem i żurem z mąki. Nie znali popularnych obecnie jarzyn, takich jak pomidory, kalafior, kapusta włoska, seler, por i inne. Szkoła 4-roklasowa oddalona o kilka kilometrów. Rzadkością były rosnące przy domu drzewa owocowe. Nie było ratunku w wypadku pożaru, lub choroby, ze względu na brak telefonu, do którego dostęp był jedynie w Przeclawiu w godzinach rannych. Pomoc z lekarzem była dopiero w Mielcu, oddalonym od niektórej wioski 20 km. Mogłem bez przesady powiedzieć, że byłem oknem na świat dla tych ludzi. Czekali z utęsknieniem na list z Ameryki z drobną dolarową pomocą, lub paczkę. Ludzie w tych biednych oddalonych wioskach byli zupełnie inni od znanych dotychczas z Przeclawia czy Podola. Mieli złote serca. Byli gościnni, serdeczni, wzajemnie sobie pomagali i odnosiłem wrażenie, że nie było w nich nienawiści. Żyli w tej swojej biedzie w pokorze.

Naczelnik Sobota wytypował mnie na miesięczny kurs pocztowców do Krakowa. Uczyliśmy się podstawowych rzeczy dotyczących poczty, ale z podziwem zorientowałem się, że materiał opanowywałem szybciej od innych, pamiętałem i natychmiast potrafiłem przekazać innym. Można to uznać za bez znaczenia sprawę, ale dla mnie chłopca zakompleksionego, beztalencja i poczucia wartości, wyzwoliło przemyślenia, że może nie jest tak, jak ocenił mnie nauczyciel z kursu doksztalającego. Od tej pory myśl ta opanowała mój umysł, wraz chęcią wiedzy i awansu społecznego. Oprócz mojej mamy zajętej bieżącymi zajęciami, nie miałem zaplecza rodzinnego mogącego mną pokierować i pomóc radą. Jedynym był Sobota, z którym często rozmawiałem i dawał mi życiowe rady. Zwierzył mi się nawet, że z początkiem mojej pocztowej pracy, dawał mi do przeliczenia więcej pieniędzy niż było w pakiecie. Zwracałem zawsze nadwyżki i nie wiedziałem, że sprawdza w ten sposób moją uczciwość. Zakomunikował mi jednego razu, że dla młodych pracowników jest w Warszawie średnia szkoła telekomunikacyjna, do której istnieje nabór. Przyjęci mieli być dalej pracownikami podległymi Ministerstwu Poczty i Telegrafów, a więc dostawali przez wszystkie lata nauki pensje i należące im ekwiwalenty. Miałem uregulowaną służbę

wojskową, bo byłem sam z mamą jako jedyny żywiciel rodziny. Spełniałem wszystkie pozostałe warunki. Sobota zachęcał mnie, a mama pomimo zdawania sobie sprawy, że pozostanie zupełnie sama, zapaliła się do tego pomysłu, kochając mnie swoim złotym sercem. Nie wierzyłem, że zostanę przyjęty, a jeszcze zdam egzamin wstępny z zakresu 7-mej klasy. Pomyślałem jednak, że warto spróbować. Napisałem podanie, Sobota wystawił mi opinię, jakbym obsługiwał 100 numerową centralę telefoniczną. W Przeclawiu była wówczas jedynie 10 numerowa centralka ręczna, a abonentów 5-ciu. Urząd Gminy, posterunek Milicji Obywatelskiej, Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska, sekretarz PPR i tartak z gorzelnią na Pikułowce. Telefony były czynne tylko w godzinach pracy poczty, a jedynie posterunek MO Sobota łączył bezpośrednio z Mielcem. Nie było łączności z żadną wioską Gminy Przeclaw. Automatyczne centrale telefoniczne były dopiero wprowadzane. Dzwoniąc z centralki należało włączyć się wtyczką do gniazdka abonenta, pokręcić korbką, aby wysłać mu sygnał, a jak się zgłosił połączyć z zamawianym, wykonując te same czynności, a po zakończeniu czas rozmowy zapisać. Z abonentem z Mielca można było prowadzić tylko jedną rozmowę, bo była tylko jedna para przewodów łączących Przeclaw z Mielcem.

W wyznaczonym terminie pojechałem na egzamin do Warszawy. Jazda nie była sprawą prostą, bo czekało się na połączenie w Rozwadowie i Lublinie. Pociąg przyjechał z opóźnieniem, a ja musiałem jeszcze udowodnić w dyrekcji szkoły, pokazując książeczkę wojskową, że nie obowiązuje mnie służba wojskowa.

Wpadłem na salę egzaminacyjną zziębnięty, gdy wszyscy już siedzieli. Byłem zmęczony i niewyspany podróżą. Dostałem z matematyki trzy pytania. Na ułamkach, zadanie z algebry i trzecie z trójkąta prostego. W pierwszym rozwiązałem ułamek w liczniku, a następnie zrobiłem to samo w mianowniku i dalej nie wiedziałem co z tym zrobić. Zagadnąłem siedzącego obok, a ten szepnął mi, abym skrajne pomnożył przez siebie, wpisał wynik w liczniku i mianowniku i rozwiązywał dalej. Kiedy po zrobieniu tego wyszło mi 2, byłem pewien, że rozwiązywałem dobrze. Natomiast do chłopca, który mi podpowiedział podszedł pilnujący nas i na jego zadaniu zrobił parafkę, że ściągał. Oznaczało to dla tego chłopca koniec egzaminu. Na zadaniu z algebry napisałem, że się tego nie uczyłem, bo nie do pomyslenia było dla mnie, aby można było dodawać, odejmować, mnożyć, czy dzielić „a” przez „b”. Potrafiłem to robić z cyframi, a nie literami. Trzecie pytanie było ile wynosi przeciwprostokątna jeżeli jedna przyprostokątna ma 3 cm, a druga 4 cm. Nie wiedziałem, że jest to trójkąt pitagorejski i jak się to oblicza, ale kartka papieru była kratkowana, więc odwracając lekko zmierzyłem nią narysowany trójkąt i wyszło mi 5 cm. Napisałem wynik i oddałem kartkę. Z języka polskiego miałem opisać, jak zmieniło się nam w socjalistycznej rzeczywistości, a ja nie miałem trudności w pisaniu opowiadań, gdyż jeszcze w Katowicach nauczyciel Jędrusik zadawał pisanie wypracowań z czynności domowych.

Nie liczyłem, że zdałem z matematyki, a wiedząc że z ponad 100 zdających ma być przyjętych tylko 40-tu, czekałem jedynie na potwierdzenie delegacji, aby wrócić do domu. Spieszyło mi się, bo znałem czas odjazdu pociągu, więc zapukałem do sekretariatu, podałem nazwisko z prośbą, że śpieszy mi się do pociągu. Pani zaglądnęła w papiery i powiedziała, żebym chwileczkę zaczekał. Następnie wyszła i podała potwierdzone do wyjazdu delegacje, ale mojej nie było. Byłem jeszcze bardziej zdziwiony, kiedy wyszła drugi raz, rozdała pozostałym karteczki na obiad w stołówce i na nocleg do bursy. Świadczyło to, że zostałem zakwalifikowany na egzamin ustny, w dniu następnym. Okazało się, że komisja chciała nas poznać osobiście i zadać pewne pytania dotyczące sytuacji politycznej. Powiedziałem, jak to lepiej się w Polsce żyje niż przed wojną. Udzieliłem jeszcze kilka innych odpowiedzi i zostałem przyjęty, potwierdzono mi delegację i pojechałem na dworzec do pociągu.

Pamiętam w szczegółach to wydarzenie i nie mogę zrozumieć, co zdecydowało o moim przyjęciu. Często dochodziłem do wniosku, że to zrządziła opatrność. Mama kiedy

wróciłem ucieszyła się, ale zaraz po tym zasmuciła się, bo doszła do wniosku, że zostanie zupełnie sama w Przecławiu, gdzie nie miała wielu przyjaciół.

Pozalaatwiałem wszelkie formalności, pożegnałem się z kolegami, z Sobotą, z Mamą i w wyznaczonym terminie przed rozpoczęciem roku szkolnego pojechałem do Warszawy. Zakwaterowany zostałem na ulicy Żelaznej w budynku Celnego Urzędu Poczтового 10. Tam na trzecim piętrze długiej przez cały budynek sali, znajdowało się 75 piętrowych łóżek, dla 150 uczniów wszystkich klas szkoły telekomunikacyjnej przy Nowogrodzkiej 45 w Warszawie. Nie było szaf, a wzdłuż sali znajdowało się kilka długich stołów, przy których można było przysiąść. Między łózkami stały krzesła i wieszaki, a osobiste rzeczy mogliśmy trzymać we własnych walizkach pod łóżkiem. Na klatce schodowej znajdowała się łazienka, prysznic i ubikacja z kilkoma oczkami. Nie słyszałem, aby ktokolwiek narzekał na warunki, chociaż często stała kolejka do ubikacji. Byliśmy społecznością przygotowaną na trudy. Rok szkolny rozpoczęliśmy na dużej sali przemówieniem dyrektora i wysłuchaliśmy pocztowej orkiestry dętej. Parter i pierwsze dwa piętra zajmowała Poczta Główna Warszawa, natomiast 3-cie piętro zajmowała Techniczna Szkoła Telekomunikacyjna. W piwnicach szkoły znajdowała się stołówka, na której otrzymywaliśmy bezpłatnie całodzienne wyżywienie. Nawet podręczniki naukowe dostaliśmy bezpłatnie. Mieliśmy w klasie kilku starszych chłopców oblatanych w załatwianiu różnych spraw, którzy poszli w delegacji do Ministra Polska Poczta Telegraf i Telefon (PPTiT) Wyprosili u niego, aby za kolację dawano nam ekwiwalent pieniężny. Istniała dobra sytuacja finansowa. Mamusia dostawała od Soboty całą moją pensję i miała rentę wdowią po Ojcu, oprócz tego żywność miała z krówki, drobiu, ogrodu i uprawy kawałeczka pola. Mnie, podobnie jak innym, po otrzymaniu ekwiwalentu pieniężnego całkowicie wystarczało. Kilku chłopców miało w domu rodziny.

Rozpoczęła się dla mnie ogromna harówka. Zdawałem sobie sprawę jakie mam zaległości w nauce. Nie chciałem zmarnować szansy wyrwania się z dołów społecznych. Chciałem osiąść jak najwięcej wiedzy. W pierwszym roku nauki, nie byłem nawet w kinie. Jeśli czegoś nie wiedziałem pytałem o to starszych kolegów, z których niektórzy mieli już klasy gimnazjalne. Pozytywnym było nawet to, że mieszkalem w takim ogromnym kołchozie. Zawsze miałem się kogo zapytać. Ponieważ do stołu trudno się było dostać, więc leżąc na łóżku, kładłem kawałek deski na kolanach i tak pisałem i czytałem ucząc się. Po 22-giej, gdy zgaszono na sali światło, to szedłem na klatkę schodową i się uczyłem. Mieliśmy wspaniałych wykładowców i świetnie urządzone w piwnicach warsztaty szkolne. Naszym wychowawcą był starszy pan o nazwisku Major, który wykładał elektrotechnikę. Mówił jak gdyby miał kluski w gębie, ale po kilku lekcjach już rozumieliśmy go. Potrafił trudne zagadnienia wyłożyć w tak prosty sposób, że koń by zrozumiał. Pamiętam jak przed Bożym Narodzeniem prosiłem go o zezwolenie wyjazdu do domu. Musiałem zerwać lekcję z elektrotechniki, więc pokazał mi tę lekcję w książce. Po powrocie pierwszego wywołał mnie do tablicy i kazał o tej lekcji opowiedzieć. Odpowiedziałem na wszystkie jego pytania, bo jadąc w jedną i drugą stronę do domu, uczyłem się tego. Postawił mi wówczas najwyższy stopień i do końca roku nie wywołał mnie do odpowiedzi. Tym przedwojennym wykładowcom, zależało aby nas jak najwięcej nauczyć, a my korzystaliśmy z tego. Część chłopców to zapaleńcy do nauki. Wielu pracowało już w zawodzie telemechanika, więc prowadzone z nimi dyskusje poszerzały horyzonty tematów technicznych. Na lekcjach wykładowcy zalewani byli masą pytań, dotyczących także radiotechniki. Poskutkowało to tym, że od następnego roku poszerzono nasz program naukowy z telefonii, telegrafii i dołożono radiotechnikę z telefonią wielokrotną, zwaną też Telekomunikacją Nośną ze skrótem TKN, lub WCz.

Życie w strachu, zagrożeniu o życie i zdrowie z poprzednich lat, spowodowały że byłem chłopcem nieśmiałym, bez poczucia wartości i bojaźliwym z masą kompleksów. Miałem tylko dwóch kolegów, którym pomagałem bo kompletnie nic im do głowy nie szła nauka. Dopiero w następnych latach zacząłem się nieco rozkręcać i poznawać Warszawę.

Wokół budynku na ulicy Żelaznej, gdzie mieliśmy bursę rozpościerała pustynia gruzowisk. Było kilka lat po wojnie, ale tam w kierunku północnym od Alej Jerozolimskich i naszej bursy czuło się dziwny, strachem przeszywający swąd. W tamtym kierunku się jeszcze nie chodziło.

Miałem kolegę – Edzia Soszyńskiego. Mieszkał na Pradze i przyjeżdżał do nas w bursie po pomoc w nauce. Zaprzyjaźniłem się z nim, bo wzajemnie sobie pomagaliśmy. On miał już ukończone coś z gimnazjum. Początkowo korzystałem od niego z matematyki i innych nauk, natomiast on korzystał z elektrotechniki, telefonii, telegrafii i radiotechniki. Miał siostrę pracującą w spółdzielni krawieckiej „Miś” która miała koleżanki. Czasem wybieraliśmy się wspólnie, w letnią niedzielę, na Bielany gdzie na wolnym powietrzu grała orkiestra do tańca. Radością była jazda, przyczepionym do zderzaka tramwaju. Innym razem pamiętam jak inni koledzy namówili mnie, aby pójść na prywatkę do jakichś dziewcząt. Byłem marnie ubrany i nie miałem śmiałości nawet podejść i poprosić dziewczynę do tańca z płynącej z radia muzyki.

Dalej harowałem jak wół i przerabiałem wszystkie lekcje nauki, ale to już do mnie przychodzili chłopcy sprawdzać czy mają dobrze rozwiązane zadania. Wiadomo, że przedmioty zawodowe których się uczyliśmy ściśle powiązane są z fizyką, matematyką, w tym z trygonometrią. Przyszło także czytanie schematów automatycznych central telefonicznych i działania wchodzących w życie dalekopisów zastępujących alfabet Morsa. Natomiast mnie, dzięki pracy, udawało się jak najwięcej wchłaniać w siebie wiadomości. Na egzaminie końcowym miałem tylko jedną wpadkę z telegrafii i musiałem zdawać. Natomiast z innych przedmiotów byłem zwolniony. Było to powodem że zacząłem wierzyć w siebie, a mianowicie iż nie jestem gorszy od innych.

Maturę zdałem z wyróżnieniem i było to dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Koledzy robili plany, gdzie będą pracować po powrocie do swych macierzystych placówek i rodzin. Ja nie miałem pomysłu. Wiedziałem, że nie mogę wrócić do Przeclawia, bo nie ma tam urządzeń telekomunikacyjnych, a muszę odpracować 5 lat zgodnie z nakazem pracy. Miałem możliwość wybrania jakiegoś wojewódzkiego miasta, ale nic nie przychodziło mi na myśl. Zdałem się na szkołę i na los szczęścia. 7-miu z naszej szkoły dostało skierowania do łączności w służbie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a jednym z nich byłem ja.

Warto się w tym miejscu zastanowić, dlaczego padł wybór na naszą siódemkę. Kilku zgłosiło się ochotniczo, pozostałych w tym mnie wybrano. Spotkał się z nami kadrowiec z MBP i najpierw ze wszystkimi zachwalał dobre warunki i płace nam oferowane, a następnie z każdym z nas z osobna na podstawie życiorysów szkolnych i przypuszczam własnych danych zadawał pytania i prosił o wyjaśnienia. Powiedziałem mu o stryju Henryku zaginionym policjancie na wschodniej granicy Polski w 1939 roku. Nie wiedziałem wówczas, że dostał się po zesłaniu w ZSRR do armii Andersa. Zażądał odręcznego napisania o tym. Pytał o rodzinę i kontakty zagraniczne. Byłem im bliski klasowo, a także sierota. Miałem tylko Mamę i siostrę i to właściwie była cała moja rodzina. Myślę, że moje dobre wyniki w nauce były mniej ważne od pozostałych czynników.

Na decyzję o przyjęciu czekaliśmy około 2 miesiące, podczas których musieli wszystkich łącznie z najbliższą rodziną „prześwietlić”.

W taki to właśnie sposób dostałem Nakaz Pracy do Organów Bezpieczeństwa Publicznego. Zdziwiłem się, że nie przyjęto Krzywonosy, wielkiego aktywistę i krzykacza, przewodniczącego ZMP. Teraz rozumiem, o co w tym wszystkim chodziło, ale teraz mam 90 lat, a wówczas 23. Było to jak widać zbyt mało żeby takie rzeczy pojąć. Pragnę przypomnieć, że w tamtych czasach powszechne były Nakazy Pracy otrzymywane po szkołach, a absolwent nie miał prawa decydowania, gdzie chce pracować. Uczyłem się, dostawałem pensję i wyżywienie i nie płaciłem za bursę. Musiałem w instytucji nakazanej przepracować co najmniej 5 lat.

Szkoła pożegnała nas uroczyście, albowiem każdego roku tak na rozpoczęcie jak i na zakończenie odbywały się uroczyste rozdania świadectw. Na dużej pięknej świetlicy były przemówienia, podziękowania i kwiaty. Grała zawsze przy takich okazjach pocztowa orkiestra dęta. Lubiłem słuchać melodii tej orkiestry. Świetlica była ogromna, akustyka dobra, więc i efekty muzyczne były wspaniałe. Słuchając tej orkiestry żałowałem, że nie potrafię grać na żadnym instrumencie muzycznym. Potrafiłem jedynie śpiewać, ale okazji do tego było coraz mniej.

Nie miałem w tym roku po szkole urlopu. Zaraz po zakończeniu nauki musiałem się zgłosić do pracy w MBP. Pracę tam rozpoczynałem 1 lipca 1951 roku. Miałem zaledwie kilka dni żeby pojechać do domu.

Mama nie była z takiego obrotu sprawy zadowolona. Naczelnik poczty Sobota też ogromnie się zdziwił. Natomiast dla mnie chłopca zakompleksionego i bez poczucia wartości, listonosza biegającego z listami po wsiach, fakt że jako technik będę pracował w Warszawie oznaczał wyraźne dowartościowanie własnej osobowości.

1 lipca 1951 roku zgłosiłem się do pracy w MBP na ulicy Ksawerów na Mokotowie. Rozmowę z nami przeprowadził dyrektor Dep. Łączności MBP płk Suczek. Był to Rosjanin w polskim mundurze słabo mówiący po polsku, ale można było go zrozumieć. Chyba chciał zobaczyć tylko nasze gęby, bo rozmowa trwała krótko. Po załatwieniu wszelkich formalności, wydaniu odpowiednich przepustek, podpisaniu zobowiązań o przestrzeganiu tajemnicy i innych przydzielono mnie, Julka Góździka, Skibińskiego, Firleja i Kanię do wydziału II-go Dep. Łączn. MBP, a pozostałych porozdzielano po innych wydziałach. Jankowski poszedł na centralę rządową, a Robert Aleszczyk dostał się do laboratorium pracującym nad ulepszaniem stacji zagłuszających zagraniczne rozgłośnie radiowe.

Nasz Wydział II mieścił się na ulicy Bagatela 14. Była to krótka ulica biegnąca od Belwederu do placu Unii Lubelskiej. Numer 14 był budynkiem stojącym przy placu Unii lubelskiej i rogu ulicy Bagatela. Znajdowała się tam na parterze księgarnia, a od jej zaplecza było wejście do wyższych kondygnacji budynku. Na 1-wszym piętrze nad samą księgarnią mieścił się wydział II. Było tam wejście jak do prywatnego mieszkania, z tą tylko różnicą, że stał przed nim strażnik legitymujący wchodzących. Jestem pewien, że nikt z postronnych nie wiedział co się tam znajduje i jak ważną spełnia rolę. Faktycznie, w tym prywatnym mieszkaniu znajdowała się stacja wysokiej częstotliwości, na której miałem pracować. Pomieszczenie, w którym się to znajdowało, zapewne było kiedyś dużym, pięknym mieszkaniem. Ze względu na narożne usytuowanie budynku, ściany pomieszczeń nie były prostopadłe do siebie, lecz ukośne. Powodowało to, że żadna z ścian nie była ścianą działową, tylko zewnętrzną. Taki wybór lokalizacji nie był przypadkowy, gdyż uniemożliwiał podsłuch z sąsiednich pomieszczeń. W tym dużym pięknym mieszkaniu wysoko aż po sufit stała rzędami ustawiona aparatura 3-kanalowej telefonii wielokrotnej popularnie nazywana wysokiej częstotliwości, skąd pochodził skrót WCz, lub TkN. Skróttem tym nazywano wszystkie urządzenia współpracujące ze stacją, a więc telefony abonenckie, centrale telefoniczne, linie przesyłowe i urządzenia szyfrujące. Gdzieś w 2007 roku wysłuchałem w telewizji i zobaczyłem budynek przy ulicy Bagatela 14, gdzie pracowałem. Budynek był własnością partii PIS i toczył się w sądzie spór o prawa do jego własności. Zastanawiałem się, czy właściciele budynku wiedzieli do czego dawniej służył.

Stacja WCz służyła do międzymiastowej łączności między wszystkimi Wojewódzkimi Urzędami Bezp. Publicznego, a Ministerstwem BP. Ponieważ było wówczas 17 województw, więc stacja miała 17 kierunków po 3 kanały na każdy kierunek. Była to angielska aparatura o nazwie SAS i SAT. W późniejszym okresie doszła łączność ze wszystkimi Powiatowymi Urzędami Bezp. Publicznego. Łączność WCz nie miała połączenia z żadną inną siecią łączności. Nie miała połączenia nawet z Centralą Rządową, służącą członkom rządu do

porozumiewania się między sobą. Pragnę tu podkreślić, że służyła wyłącznie do tajnej łączności międzymiastowej najwyższych władz partyjnych i rządu.

W Warszawie łączność swoją MBP udostępniało pierwszemu sekretarzowi KCPZPR Bolesławowi Bierutowi, premierowi rządu Cyrankiewiczowi, ważniejszym członkom rządu i ministrom. W MBP telefon WCz mieli oprócz ministra Radkiewicza i wiceministra Romkowskiego, także dyrektorzy departamentów MBP tacy jak Fejgin, Różański i inni, których nazwisk w chwili obecnej nie pamiętam. W gabinetach dyrektorów byli stali dyżurni, wyższą rangą oficerowie MBP, zastępujący głównych abonentów. Nikomu oprócz upoważnionego oficera w randze co najmniej majora, nie wolno było z tej łączności korzystać. Wszystkie gabinety czynne były przez okrągłą dobę i biegły z nich dyrektywy w teren. Była to łączność międzymiastowa i abonentów lokalnych nie wolno było łączyć ze sobą. Dla łączności lokalnej służyła centrala automatyczna zwana „Centralą Rządową”. Natomiast łączność WCz służyła wyłącznie do tajnej łączności międzymiastowej.

Abonenci w ilości ponad 100 byli podłączeni do 200-numerowej centrali znajdującej się w następnym pomieszczeniu za naszą aparaturą. Była to ręczna centrala posiadająca 4 stanowiska, na których pracowało 4 telefonistów w ciągu dnia, a w nocy jeden. Byli to mężczyźni, a wśród nich jedna kobieta nazwiskiem Pokatiłowa, żona jakiegoś sowieckiego pułkownika. Telefoniści ręcznie łączyli abonentów naszej centrali z abonentami poszczególnych województw.

W Wojewódzkich Urzędach Bezpieczeństwa Publicznego(WUBP) znajdowały się stacje WCz współpracujące z naszą i posiadały następujących abonentów. Szef WUBP, 1-szy sekretarz KWPZPR i przewodniczący Woj. Rady Narodowej (WRN). Telefony WCz stały w ich gabinetach i tylko upoważnieni mogli z nich korzystać. Dostęp do tej łączności strzeżony był bardzo ściśle zarówno w Warszawie jak i w województwach. Z sieci łączności WCz w Warszawie było tylko jedno wyjście na radziecką centralę, przez którą można było osiągnąć stolice Krajów Demokracji Ludowych (KDL) takich jak Moskwa, Berlin, Praga czy inne. Na żadną inną sieć łączności, wyjścia nie było. Nawet na centralę rządową, która także obsługiwana była przez MBP i na której pracował mój kolega z klasy Jankowski. Nie było też wyjścia na centralę MON. Nie trzeba dodawać, że z telekomunikacji podległej wówczas pocztom nie korzystano i wyjścia na sieć miejską nie było.

Wspomniana powyżej radziecka stacja WCz znajdowała się także w Warszawie i stała w hierarchii łączności powyżej naszej stacji. Obsługiwali ją wyłącznie Rosjanie i łączyć można było z nią tylko niektórych abonentów, proszących o łączność z Moskwą, lub innymi Krajami Demokracji Ludowej (KDL). Nie wiedziałem, gdzie ta stacja się znajduje, ale przypuszczam, że gdzieś bardzo blisko, a może w tym samym budynku.

Po ogólnym zapoznaniu się z aparaturą mnie i Julka Góździka przydzielono dyżurnym technikom na zmiany. Na zmianach pracowali ruscy i polscy technicy oficerowie. Ruscy technicy odeszli po kilku miesiącach i odtąd personel techniczny pozostał w całości polski. Julek Góździk pracował na zmianie z por. Kuczyńskim, a ja pracowałem z por. Rybczyńskim.

Naszym zadaniem było utrzymanie w sprawności technicznej wszystkich urządzeń stacji WCz, centrali telefonicznej i telegrafu, który był w następnym pomieszczeniu. Do naszych obowiązków należało sprawowanie nadzoru nad wszystkimi wojewódzkimi stacjami WCz, a także liniami przesyłowymi. 3-kanalowa aparatura o szerokości 1-go metra na każdy wojewódzki kierunek stała na sali w trzech rzędach do wysokości sufitu.

Nie było w tamtych czasach tranzystorów ani obwodów scalonych. Urządzenia pracowały na lampach elektronowych, więc zajmowały dużo miejsca i pobierały dużo energii elektrycznej. Zasilane były z sieci energetycznej, ale na wypadek awarii sieci, mieliśmy w piwnicy spalinowy agregat prądowłórczy, który w wypadku awarii uruchamialiśmy i przełączaliśmy stację na własne zasilanie.

W skład jednego kanału wchodził generator częstotliwości nośnej, generator sygnału 500 c/s, do pomiarów 800 c/s, modulator, demodulator, filtry, panel kontrolny i kilka o mniejszym znaczeniu. Każde było w osobnym panelu. Na każdy kierunek trzeba te panele pomnożyć przez 3, bo aparatura była 3-kanałowa, więc było tego sporo. Na każdym kanale było kilkadziesiąt lamp elektronowych, łącznie, około 1000, więc jak to wszystko zaczęło latem grzać, to trudno było wytrzymać, a klimatyzacji nie było.

Było jeszcze pomieszczenie telegrafu, który też nam podlegał technicznie, ale z nim było najmniej kłopotów, gdyż telegraf pracował na niskiej częstotliwości. Telegrafista, który go obsługiwał nie miał zbyt wiele pracy. Z innych pomieszczeń było pomieszczenie kierownika stacji kpt. Dyra i pokój tzw. AS-ów. AS-ami nazywano urządzenia szyfrujące rozmowę i zabezpieczające je przed podsłuchem. Za pracę tych urządzeń odpowiadał jeden pracownik i tylko on miał dostęp do tych urządzeń, których działanie trzymano w ścisłej tajemnicy. Był to człowiek niskiego wzrostu i nazywał się Kluk.

Kierownikiem stacji WCz i moim przełożonym był kpt. Dyr, a jego zastępcą kpt. Krawczyk. Naczelnikiem naszego wydziału był płk Izrael Cwejman. Był człowiekiem bardzo nieprzyjemnym w obecnym znaczeniu. Człowiek ten był mistrzem w podniecaniu atmosfery strachu, wzajemnej nieufności i donosicielstwa. Wkrótce przekonałem się jak perfidnymi metodami działał Cwejman, aby antagonizować między sobą pracowników nie dopuszczając do zażyłości i przyjaźni. Dotyczyło to szczególnie tych pracowników, którzy pracując na zmianach mieli możliwość podsłuchu rozmów. Starano się tak wypełnić nam czas, aby nie było chwili odpoczynku. Dotyczyło to szczególnie nocy, gdyż była wtedy tylko nieliczna ilość personelu, a więc ograniczona możliwość patrzenia jeden drugiemu na ręce. Znam tylko jeden wypadek nawiązywania zażyłości między pracownikami. Byli to Marta z Włodarczykiem, którzy pobrali się. Marta następnego roku po mnie przyszła do pracy po technikum radiotechnicznym, a on w tym czasie przyszedł po oficerskiej szkole łączności wraz z kilku innymi porucznikami. Nigdy jednak na jednej zmianie nie wykonywali tej samej pracy i nie pracowali na dyżurach.

Po zapoznaniu się z ogólnymi zasadami i znajomością aparatury, jak już wspomniałem przydzielono mnie i Julka Góździka dyżurnym technikom. Rybczyński i Kuczyński byli oficerami po szkole łączności, ale teoretycznie z podstaw telefonii, telegrafii, czy nawet elektrotechniki nie wiedzieli wiele. Tłumaczyłem to sobie niskim poziomem szkół oficerskich w tamtych czasach i najprawdopodobniej brakiem tak dobrych wykładowców, jakich my mieliśmy na Nowogrodzkiej.

Por. Rybczyński, z którym pracowałem na zmianie był dobrym praktykiem i praktycznie na wycucie wiele potrafił zrobić. Miał nosa do wykrywania usterek i często bezbłędnie udawało mu się wykryć uszkodzony element w aparaturze. Być może nauczył się tego od Rosjan, którzy po pewnym czasie odeszli. Rybczyński był dla mnie bardzo wymagający i nie dawał mi taryfy ulgowej. Podnosił mi coraz wyżej poprzeczkę wykonywanych zadań.

Mieliśmy teoretyczne szkolenie z pracy aparatury, ale przyznaję, że niewiele mnie nauczyli. Nikt z nich nie potrafił wyłożyć teoretycznych zagadnień z telefonii wielokrotnej tak jak robili to wykładowcy z Nowogrodzkiej. W szkole tylko ogólnie zapoznany byłem z tymi zagadnieniami, więc teraz pracując tu należało je dokładnie poznać. Miałem dostęp do schematów i instrukcji, więc wgryzałem się w techniczne zagadnienia. Pamiętam jak jednego razu na szkoleniu płk Cwejman pytał po kolei jak podawany jest sygnał wywoławczy przeciwnej stacji. Kilku pod rząd nie odpowiedziało na to pytanie dopiero ja wyczerpująco powiedziałem, na czym to polega. Wcale mnie to nie uchroniło przed późniejszymi represjami, jakimi mnie uraczono. Robił to ze wszystkimi przy każdej nadarzającej się okazji. Wydawało się, że ten człowiek gardził ludźmi.

Po około pół roku pracy pracowałem już samodzielnie na dyżurach. Z Julkiem Góździkiem zastąpiliśmy Rybczyńskiego i Kuczyńskiego, którzy odeszli do innej pracy. Od tej pory całkowicie odpowiadałem jednoosobowo za sprawność techniczną stacji WCz. Na I zmianie był kierownik stacji, jego zastępca i kilku innych. Natomiast na 2-giej i 3-ciej zmianie byłem sam. Julek pracował na innej zmianie wykonując tą samą pracę, co ja. Odtąd byliśmy już pod całkowitą presją Cwejmana. Kierownik stacji kpt. Dyr nie potrafił się zdecydowanie przeciwstawić atakom Cwejmana na nas. Był zbyt miękki. Kiedy rozmawiałem z nim, on przyznawał mi rację, ale nie przedstawił tego Cwejmanowi. Po prostu bał się o swoją skórę.

Przeważnie chodziło o wpisy do dziennika. Było to największą zmorą. Każde wydarzenie, które miało miejsce na dyżurze musiało być w dzienniku dokładnie opisane. Najwięcej czepiał się o nocne wydarzenia. Telefonista z centrali, jeżeli nie mógł się gdzieś dodzwonić musiał ten fakt zameldować mnie. Musiałem działać, aby ustalić, co było przyczyną braku łączności. Jeśli z którymś z wojewódzkich kierunków nie było łączności to oprócz działań, aby ją przywrócić musiałem jeszcze wszystko dokładnie opisać. Tylko bardzo nieliczne defekty były na mojej stacji w Warszawie. Najczęściej zdarzało się to na stacjach przeciwnych, a najwięcej na liniach. Linie łączące poszczególne województwa z Warszawą były liniami napowietrznymi, które często zrywała burza. Musiałem wówczas uruchamiać posterunki Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego (KBW), które w terenie często bardzo odległym naprawiały linie. Najgorzej było na kierunku rzeszowskim, gdyż nie biegła tam linia miedziana, lecz aluminiowa, a jeszcze do tego wykorzystywana przez pocztę. Na niej były najczęstsze awarie.

Sąsiadujące z sobą województwa także miały z sobą łączność. Jeśli między województwami nie było łączności np. między Wrocławiem a Poznaniem to też musiałem działać na rzecz przywrócenia łączności. Z terenu o wszystkich brakach łączności technicy wojewódzkich stacji WCz mieli obowiązek meldować dyżurnemu technikowi w Warszawie, a ja będąc nim musiałem działać technicznymi radami i działaniami na rzecz nawiązania łączności. Wszystko musiałem dokładnie odnotować. Odpowiadałem za to przed Cwejmanem.

Często zdarzało się, że dyżurny technik obsługujący centralkę na wojewódzkiej stacji zaspał. Zaalarmowana o braku łączności najbliższa placówka KBW docierała tam i budziła delikwenta. Technicy na województwach, bardzo słabi technicznie obsługiwali aparaturę WCz i jednocześnie spełniali role telefonistów. Jeśli było uszkodzenie na jego stacji to musiałem nim kierować udzielając wskazówek jak ma defekt usunąć. Często takich zdarzeń było kilka w tym samym czasie i wtedy było urwanie głowy. Tak było zawsze po burzy, która zrywała linie napowietrzne.

Aby zapewnić dobrą jakość słyszalności, do obowiązków dyżurnego technika należało nocą robić pomiary aparatury, czyli tzw. pomiar poziomu przenoszenia sygnału. Robiło się to zawsze późną nocą, kiedy nie było ruchu na centrali. Wykonywało się to wspólnie z technikiem na wojewódzkiej stacji. Najpierw on wysyłał mi sygnał z generatora o częstotliwości 800 c/s i poziomie zerowym, a ja regulowałem swoją aparaturę, żeby ten sam poziom uzyskać. Następnie role się odwracały i ja wysyłałem mu sygnał, a on regulował poziom sygnału otrzymany ode mnie. Pomiary przeprowadzałem na wszystkich kierunkach, a było ich 17. Potrzeba było na to 3 do 4 godzin. Najgorsze było to, że nie wszyscy technicy na wojewódzkich stacjach potrafili to robić. Jeśli nie dał na swojej stacji zerowego poziomu sygnału, to cała regulacja u mnie była na nic. Nie było tam fachowców, pracowali ludzie, którzy oprócz włożenia wtyczki w gniazdko na centrali nic więcej nie potrafili zrobić. Musiałem z odległości instruować ich jak to robić. Wymagało to ogromnej cierpliwości i nerwów. Krzyczałem przez telefon, „weź sznur i włoż jeden koniec tu, a drugi tam, teraz zrób to, a potem tamto, przeczytaj wskazanie wskaźnika i przełącz taki przełącznik w takie lub

inne położenie, a następnie ustaw potencjometrem wartość wskaźnika na taką, a potem inną itd.” Często nakazywałem ściągać naczelnika wydziału łączności danego województwa. Wówczas wspólnie na odległość usuwaliśmy defekt. Wymagało to sporo czasu i nie było wolnej chwili, aby odpocząć. Chyba też i o to chodziło, aby nie mieć czasu na ewentualne podsłuchiwanie rozmów.

Mnóstwo lamp elektronowych w aparaturze niesamowicie grzało. W pomieszczeniu nie było wentylacji, więc latem ciężko było wytrzymać. Poza tym w aparaturze, w kablach i wszędzie roilo się od pluskiew. Roje pluskiew tak się dawały we znaki, że po nocy, gdy wracałem do hotelu to cały śmierziałem tymi pluskwami. Chodziły nawet po biurku i włożyły między kartki dziennika, który Cwejman każdego rana oglądał. Nigdy jednak nic nie zrobiono, aby ten stan zmienić. Już po roku takiej pracy dużo dałbym, aby się stamtąd wyrwać, ale wiadomo było, że to niemożliwe. Znałem zbyt wiele tajemnic, aby człowieka puścili. Na dobrą sprawę prędzej skróciliby o głowę niż wypuścili z tej służby, a ktoś dostałby nagrodę za wykrycie szpiega. Kiedy rozpocząłem tam pracę był rok 1951, a więc czas stalinowskiego terroru. Zdawałem sobie dokładnie sprawę, że wyjście stamtąd możliwe jest tylko poprzez kazamaty więzienia na Rakowieckiej, wprost na cmentarz. W tym czasie masowo zaczęły mi wychodzić włosy z głowy.

Nie bez powodu martwiłem się, w co się wpakowałem. Byłem młodym człowiekiem i zbyt mało doświadczonym, abym mógł samodzielnie poradzić sobie z tym zagadnieniem. Panowało we mnie ciągle napięcie. Najgorzej, że nie miałem nikogo, abym mógł się poradzić i zwierzyć.

Tego groźnego napięcia nie wytrzymał Julek Goździk. Był to bardzo dobry i uczynny chłopak. Prowadził podobnie zmianę jak ja. Pracowaliśmy na trzy zmiany i on był jednym z prowadzących. Oprócz mnie i Goździka był jeszcze jeden z oficerów, ale nie pamiętam jego nazwiska. Julek wziął sobie to wszystko zbyt mocno do serca. Nie wytrzymał, nerwy mu puściły i chłopak zwariował. Odwiedziłem go parę razy w Tworkach w zakładzie psychiatrycznym. Smutny to był widok. Kiedy go podleczyli i wyszedł to wiadomo było, że w Organach Bezp. Publicznego pracował nie będzie. Przyszedł na naszą stację WCz i ponieważ gnębiło go wiele spraw zaczął wymyślać. Przestał się bać i było mu wszystko jedno. Wygarnął wszystko, co myślał o Cwejmanie i Bezpiecie. Być może za namową Cwejmana, kpt. Dyr „Julka sprowokował i zdenerwował. Następnie powiedział Julkowi „jak się panu nie podoba to niech pan pisze raport o zwolnienie”. Podsunął mu przy tym papier i pióro do pisania. Julek ujął się honorem, napisał odręcznie raport o zwolnienie na własną prośbę i oddał kapitanowi Dyrowi. Załatwili sprawę bardzo szybko. Nie dostał chłopak żadnego odszkodowania, a przecież wiadomo było gdzie i dlaczego stracił zdrowie. Gdyby nie napisał o zwolnienie z organów BP sami musieliby go zwolnić i to byłoby dla niego korzystniejsze finansowo. Jeśli zrobił to na własną prośbę Cwejman uniknął tłumaczenia, że doprowadził go do takiego stanu. Rezultat był taki, że chłopak żył w biedzie. Nie dali mu żadnego odszkodowania i jak się później z nim kontaktowałem żył jedynie z niewielkiej renty. Tak się traktowało ludzi w systemie, który miał służyć proletariackiemu społeczeństwu. Przyjaźniłem się z nim i odwiedzałem go. Nie wyjechał z Warszawy, gdyż nie miał dokąd. Nie miał żadnej rodziny, mieszkał samotnie w hotelu, gdzie zajmował służbowy pokój. Kilkakrotnie miał nawroty choroby. Jedyne, co dla niego zrobili to nie wyrzucili go z zajmowanego w hotelu pokoju. Ostatni kontakt miałem z nim w 1965 roku.

Często zastanawiałem się czy warto być gorliwym, starając się żeby nałożone obowiązki wykonywać jak najlepiej. Zaczynałem mieć coraz więcej przykładów, że nie warto. Analizowałem swoje postępowanie z postępowaniem innych i dochodziłem do wniosku, że wysuwaniem się przed szereg szkodzi się samemu sobie. Gdybyśmy przykładowo byli z Julkiem miernymi początkującymi i nie przejawiali inicjatywy w poznaniu aparatury, a swoje obowiązki wypełniali byle jak, to nie dostalibyśmy się do pracy

jako dyżurni technicy i nie nosilibyśmy tej ogromnej odpowiedzialności, jaka na nas ciążyła. Inni którzy się mniej starali kierowani byli do ostatnich prac spokojniejszych i lepszych.

Analizowałem przykład Kani, który przyszedł do pracy razem z nami. Był chłopakiem starszym ode mnie o 5 lat i być może dlatego mądrzejszym. Gdy się zorientował, że warunki pracy i płacy wcale nie są takie jak obiecywano, to przestał się starać i dobrze pracować. Już po kilku miesiącach napisał raport o zwolnienie z pracy. Ponieważ dostał odmowę zwolnienia przestał wykonywać zadania jakie na niego nakładano. Kpt. Dyr nie potrafił wymusić na nim żadnej poważniejszej pracy za wyjątkiem drobnych posług. Ignorował przełożonych w tym samego Cwejmana. Siadał na podłodze i oparty plecami o ścianę przesiadywał tak całymi godzinami. Gdy wchodził Cwejman on na to nie reagował, nawet nie odpowiadał na zadawane mu pytania. Po kilku tygodniach zwolniono go z pracy i w ten sposób uniknął kłopotów, z którymi ja się borykałem. Być może prawdą było to, co Kania mówił, a mianowicie, że ma wysoko postawionego brata w MBP i dlatego się nie bał. Fakt jednak pozostał faktem. Osiągnął zamierzony cel.

Następnym przykładem był Skibiński. Wprawdzie nie występował o zwolnienie, ale też nie przejawiał zainteresowania pracą. Chodził przeważnie z mandoliną, na niej grał i śpiewał. Ciągle tylko o tym opowiadał jakby nic innego nie miał w głowie. Kiedy jeszcze byliśmy w szkole to pamiętam jak na praktyce posprzeczaaliśmy się o coś, a on w zdenerwowaniu powiedział.

--- Poczekaj jak ja będę twoim kierownikiem, a ty będziesz u mnie pracował to ja ci pokażę. Los lubi jednak płatać figle, bo po jakimś czasie, gdy już samodzielnie pracowałem na stacji WCz to tego palanta Skibińskiego przydzielono do mnie do pomocy, abym go przyuczył obsługiwać aparaturę WCz. Śmiałem się w duchu z niego, ale się na nim nie odgrywałem. Nie przejawiałem jednak inicjatywy, aby go uczyć. Po jakimś czasie Cwejman się go pozbył, ale gdzie odszedł tego nie wiem.

W tym samym czasie, gdy do pracy przyszła Marta i Włodarczyk, późniejsze małżeństwo, przyszło jeszcze kilkoro innych. Jednym z nich był Smagacz popularnie zwany „Ćmagą”. Był bardzo wesołym i ciągle uśmiechniętym chłopcem. Przyszedł do pracy na naszą stację z technikum radiotechnicznego w Dzierżoniowie. Lubilem go, bo zawodowo był dobry, szybko się uczył, a co najważniejsze ciągle miał śmiejącą gębę. Przyszedł także do pracy inż. Kamiński. Bardzo szybko stał się prawą ręką Cwejmana i wkrótce na stacji WCz miał więcej do powiedzenia niż kpt. Krawczyk czy kierownik stacji kpt. Dyr. Nie wiem czy zażyłość Cwejmana z Kamińskim wynikała z tego, że Kamiński też był Żydem. Teraz Cwejman miał jeszcze więcej informacji o tym, co się na stacji dzieje, bo Kamiński ciągle u nas siedział i wszystko Cwejmanowi donosił. Cwejman swój gabinet miał na ulicy Ksawerów i wpadał do nas przeważnie rano. Kamiński do wszystkiego się wtrącał, a to bardzo przeszkadzało w pracy. Wprawdzie znał on bardzo dobrze zagadnienia telefonii wielokrotnej, ale samo to wcale mi w pracy nie pomagało.

Jeszcze na początku mojej pracy w MBP wyszła sprawa przynależności do PZPR. Zażądano ode mnie legitymacji partyjnej i przeniesienia z poprzedniej organizacji, a ja tego nie miałem. Z moją przynależnością do partii była taka historia, że będąc listonoszem chodziła plotka iż będą zwalniani z pracy nie należący do partii. Miałem wówczas 18 lat i bałem się o swoją pracę. Zagadnałem wówczas sekretarza PPR, że chcę się do partii zapisać. Wyciągnął karteczkę i zapisał moje nazwisko. Moja świadomość była taka, że od tej pory uważałem się za partyjnego i tak napisałem w życiorysie. Nikt mnie później nie zagadał o ten fakt i nie byłem na zebraniu ani w Przecławiu, ani w szkole. Minęło od tej pory 5 lat i dopiero tam wyciągnięto sprawę z życiorysu. Nie chcąc mieć kłopotów pojechałem do Przecławia i wraz z kolegą Mietkiem Mądrackim spiliśmy w knajpie pijacznę tow. Mela, gminnego sekretarza PZPR w Przecławiu i ten wystawił mi legitymację kandydacką partii PPR z

wcześniejszą datą. Mietek jeden z późniejszych dyrektorów administracyjnych na WSK w Mielcu pomógł mi z Melem, bo dobrze się z nim znał. Kiedy przedstawiłem legitymację, wynikł problem, bo kandydatem można być rok, a nie jak wynikało z mojej legitymacji 5 lat. Należało mnie wcześniej przyjąć na członka albo wyrzucić. Ściśle tego przestrzegano. W końcu jednak mnie przyjęto. Jak się niedługo po tym okazało z przynależności do partii wynikało wiele obowiązków. Gdybym wcześniej o tym wiedział, nigdy nie zagadnąłbym tow. Mela.

Zmorą było siedzenie na szkoleniach politycznych i prasówkach. Chciano nam w mózgi wtłoczyć wszystko naraz. Codziennie rano były prasówki, które na zmianę po kolei ktoś inny relacjonował. Gdy wypadło na mnie musiałem zbierać tematy z gazet, przygotowywać się do tego, a później taką prasówkę wygłaszać. Szkolenia partyjne odbywały się też w ten sposób. Na zmianę każdy uczestnik musiał opracować jeden temat z programu szkolenia. Zajmowało to także dużą część wolnego czasu. W końcu tak byliśmy nafaszerowani ideologią, że wiara w konieczność walki z kapitalizmem, aż wylewała się z mózgow. Był to system tak zły, że należało go obalić i na jego gruzach zbudować nowy system. Tym nowym systemem na świecie miał być komunizm, jedyne szczęście dla proletariatu z radzieckim człowiekiem na czele. Tego radzieckiego człowieka stawiano nam na każdym kroku za wzór. Ten człowiek na polecenie Stalina budował nam już w darze Pałac Kultury.

Zebrania partyjne to był osobny rozdział. Siedziało się na tych zebraniach często do późnych nocy, a jak było wyborcze to do białego rana. Słuchało się politycznych dyskusji prześcigających się ze sobą dyskutantów, popierających swe wystąpienia cytatami z Marksa, Stalina i Lenina. Ciągłe słyszało się, że Lenin powiedział to, a Stalin tamto. Ten zalew propagandy wdzierał się w nasze mózgi tak głęboko, że do głowy zakradał się chaos.

Pamiętam zebranie partyjne, na którym omawiano sprawę Andrzejewskiego. Był pracownikiem naszej stacji WCz i pracował w akumulatorni. Był to już starszy łysy pan. Biuro do Spraw Funkcjonariuszy SB dowiedziało się, że w 1920 roku dostał za waleczność Krzyż Virtuti Military. Wydalono go z partii. Słuchałem prześcigających się dyskutantów z obrzydzeniem. Obluzgano błotem Józefa Piłsudskiego. Muszę powiedzieć, że nie mogłem się wewnątrznie z tym pogodzić. Będąc dzieckiem chodziłem do szkoły jego imienia, czym się bardzo szczyliłem. Śpiewałem piosenki legionowe o Piłsudskim i z jego imieniem na ustach wygrywałem dziecięce wojny ołowianymi żołnierzami. Czyżby to wszystko, o czym śpiewałem za dziecka w tych piosenkach było nieprawdą? Czy to, co się o nim wówczas mówiło też było nieprawdą? Pamiętałem rok 1935, kiedy Piłsudski, marszałek polski zmarł i był jego pogrzeb. Cały naród był po nim w wielkiej żałobie. Czy to wszystko, co wiedziałem było nieprawdą, a prawdą było to, co oni teraz mówią na zebraniu, że był bandytą? Sam nie wiedziałem, w co mam wierzyć. Może gdybym miał Ojca on wyjaśniłby mi gdzie leży prawda. Nie skłamałby mnie, ale ja Ojca nie miałem, bo zabrała go wojna. W głowie pozostały wątpliwości i zakradał się chaos. O tych wątpliwościach nie było z kim rozmawiać. Jeżeli one były, trzeba było się z tym kryć, aby nie być okrzykniętym wrogiem. Andrzejewskiego wyrzucono z partii i zwolniono z pracy, a to oznaczało koniec tego człowieka. Nie znam późniejszych jego losów, ale można się domyśleć, że posadzili go o szpiegostwo. Nigdy więcej go nie widziałem, więc najprawdopodobniej tak było. Był to, bowiem okres największego stalinowskiego terroru. W tamtych czasach nie trzeba było wiele, żeby pójść do więzienia lub stracić życie.

Może dzisiaj młodym ludziom trudno pojąć niektóre fakty. Należy jednak wziąć pod uwagę, że społeczeństwo było zastraszone jeszcze od czasów okupacji niemieckiej. Za stalinizmu było nawet gorzej. Za okupacji niemieckiej społeczeństwo stanowiło jeden zwarty monolit ustawiony przeciwko Niemcom, natomiast po wyzwoleniu było inaczej. Społeczeństwo było podzielone, więc bezpieczeństwa miała wszędzie swoich konfidentów. Nawet

wówczas, gdy wśród swoich mówiło się o polityce, to ściszało się głos, mówiło szeptem zamykając wcześniej okna. Ściany miały oczy i uszy. Śpiewaniem piosenek patriotycznych nie mówiąc o legionowych, czy nawet o bitwie pod Monte Casino można było tak się narazić, że człowiek stawał się „czarną reakcją”. Przypięcie takiej etykiety znaczyło być wrogiem ludu, a tacy ludzie stawali wówczas poza prawem i zwalczano ich stosując wszelkiego rodzaju represje.

Mieszkałem w budynku hotelowym na ulicy Iwickiej, boczna Podchorążych. Znajdował się tam duży kompleks bloków mieszkalnych zajmowanych przez pracowników MBP, KBW, Straży Granicznej, Więziennictwa i wszystkich innych służb podlegających Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. Budynek, w którym mieszkałem nie był zamieszkały przez rodziny tylko przez samych pracujących w MBP. Funkcjonował na zasadzie hotelu, więc osoby postronne nie miały tam wstępu. Miałem stamtąd niedaleko do pracy i przeważnie chodziłem pieszo. Od Iwickiej szedłem ulicą Podchorążych, następnie Spacerową i już byłem na placu Unii Lubelskiej, czyli przy Bagatela 14, gdzie pracowałem. Istniał obowiązek zgłaszania, gdybym zauważył iż jestem śledzony. Od pracy niedaleko miałem na Ul. Koszykową, gdzie obok przy alei Wyzwolenia znajdował się klub MBP, a w nim stołówka. Chodziłem tam na posiłki, często nawet na kolacje.

Gdy się spojrzy na plan Warszawy to nasza stacja WCz często określana skrótem TkN (od telekomunikacja nośna) znajdowała się w centrum „Jaskini Lwa”. Z lewej Belweder z prezydentem Bierutem, nieco dalej na północ ul. Koszykowa, gdzie był główny gmach MBP, a na południe Mokotów z ul. Rakowiecką i słynnym więzieniem, oraz mnóstwo innych rozmieszczonych na Mokotowie budynków podległych MBP i KBW. Śmiem twierdzić, że ilość łączy telekomunikacyjnych sieci MBP przewyższała swoją liczbą łączność sieci miejskiej. Łączy i wszystkie kable MBP były dokładnie oplombowane i biada temu, kto zerwałby taką plombę. Zdarzało się, że wykorzystywano w kablach pocztowych tylko niektóre pary przewodów, ale stosowano takie praktyki w stosunku do mniej ważnych abonentów. Ścisłe strzeżono tajemnicy schematu połączeń poszczególnych abonentów z naszą stacją TkN. Miał do tego dostęp tylko jeden człowiek. Później dołączono do niego jeszcze Firleja.

Pomieszczenie, które zajmowałem w hotelu przy ul. Iwickiej było zwyczajnym mieszkaniem, które zamieszkiwaliśmy w trójkę. Było tam 2 pokoje, łazienka i mała kuchnia. Mieszkałem z Aleszczykiem Robertem i jeszcze jednym chłopakiem, który pracował z nim. Byłem podległy dyscyplinie wojskowej, miałem stopień starszego sierżanta i dostawałem umundurowanie, ale nie chodziłem w nim, gdyż nie było takiego obowiązku.

Robert był moim kolegą z klasy na Nowogrodzkiej. Trudno mówić o przyjaźniach z pracy w MBP, gdyż te były zawodne. Robert jednak tak jak i Julek Goździk nie byli szkodliwi. Robert nie wydał mnie, gdy coś do niego powiedziałem, tak jak i ja nie wydałem jego. Ufaliśmy sobie, a to mieszkając w jednym pokoju było ważne. Nie mogę tego powiedzieć o tym trzecim, który mieszkał z nami i którego imienia nie pamiętam. Pracował z Robertem, ale tak on, jak i ja nie ufaliśmy mu. Oni nie wiedzieli gdzie ja chodzę do pracy, a ja nie wiedziałem, gdzie Robert chodzi do pracy. Lepiej było tego nie wiedzieć.

Roberta przydzielono na „głuszaczki”, które w całym kraju miały zadanie zagłuszać stacje radiowe Wolnej Europy i Głosu Ameryki. Pracował w laboratorium, którego zadaniem było udoskonalanie „głuszaczek”. Chodziło o takie wypracowanie selektywności „głuszaczek”, aby zakłócały w wąskim zakresie pasma, czyli tylko w tym zakresie pasma, w którym nadawała zagraniczna stacja. Moc radiostacji zagłuszających musiała być niewielka ze względu na to, aby nie było jej słychać za granicą Polski. Aby to osiągnąć cały kraj pokryty był siecią „głuszaczek” nadających w promieniu 50 km. Jedna z takich zagłuszających stacji zlokalizowana była w Boguchwale koło Rzeszowa.

Robert był flegmatykiem mówiącym bardzo powoli i ze wschodnim akcentem. Pochodził z Grodna, z którego został z rodzicami wysiedlony do Polski po napaści Sowiec

na Polskę w 1939 roku. Miał do mnie zaufanie, bo zwierzył mi się, że słucha zagranicznych rozgłośni przesuwając nieco częstotliwość „głuszaczki”. Mógł to zrobić tylko wtedy, gdy był sam. Jednego razu mało co nie wpadł, gdy ktoś niespodziewanie wszedł do pomieszczenia. Zazdrościłem mu tej pracy, gdyż jego praca była spokojna. Pracował tylko w dzień, nie miał do czynienia z taką odpowiedzialnością zadań, jakie na mnie leżały i nie musiał użerać się z wieloma ludźmi. Kiedy jeszcze chodziliśmy do szkoły na Nowogrodzkiej to było w naszej klasie kilku kolegów z Grodna. To od nich pierwszy raz dowiedziałem się, co robili z Polakami Moskale zajmując w 1939 roku Grodno. Nie będę o tym pisał, gdyż są to obecnie sprawy powszechnie znane.

Odwiózł nas w hotelu jednego razu Firlej, nasz kolega z klasy pracujący ze mną. Robert dla żartów wyciął z gazety portret Stalina i powiesił go sobie nad łóżkiem. Firlej zobaczył to i zaczął żartować z wąsów Stalina. Przytaknęliśmy mu uznając, że były to żarty. Po kilku dniach musieliśmy tłumaczyć się z tego w Biurze d/s Funkcjonariuszy. Była to tajna policja w UB zajmująca się tylko pracownikami SB. Tak podsmarował nas szkolny kolega z klasy.

Firlej starszy ode mnie o 4 lata był ciekawym typem. Mieszkał w Otwocku skąd dojeżdżał do pracy. Musiał mieć kogoś bardzo zaufanego, albo sam był bardzo zaufanym, bo dostał pracę montera telefonów u abonentów. Wraz z drugim pracownikiem miał wstęp do wszystkich gabinetów, gdzie stały telefony WCz. Mieli specjalne przepustki, na mocy których mogli wstępować do gabinetów najwyższych członków rządu, KCPZPR i MBP. Szczególnie strzeżoną tajemnicą było, gdzie mieli gabinety najwyżsi członkowie rządu i MBP podobnie jak któreśdy biegły przewody do telefonów WCz. Gdy była uszkodzona linia, albo telefon to zawsze obydwaj chodzili, aby jeden drugiemu patrzył na ręce. Tylko oni mieli wgląd w system połączeń telefonicznych w takich ważnych obiektach jak Belweder, KCPZPR, MBP i inne. Była to spokojna praca niewymagająca nerwów. Poszli sobie na cały dzień w teren, najwyżej wymienili jakiś telefon, albo popsikali zapachem do słuchawki.

Do departamentu łączności MBP, który mieścił się na Mokotowie na Ulicy Ksawerów należeli również kurierzy. Rozwozili oni tajną pocztę do wszystkich Urzędów BP na terenie całego kraju. Ich zadaniem było także rozwożenie poczty dyplomatycznej poza granice Polski.

Nie miałem dużo wolnego czasu, gdyż praca na dyżurach zajmowała większość niedziel i popołudni, ale czasem, gdy nie miałem dyżuru w sobotę lub niedzielę wybierałem się na Pragę do Edka Soszyńskiego. Wspominałem już, że jadąc podziwiałem z tramwaju ogromne wysypisko śmieci. Z całej Warszawy na to miejsce wywożono śmieci. Po latach to miejsce zostało uprzątnięte i stanął na nim Stadion 10-lecia PRL. Warszawa coraz szybciej piękniała, a gruzy znikwały. Jeszcze czasem z Edkiem Soszyńskim, jego siostrą i jej koleżankami z „Misia” chodziliśmy do Parku Łazienkowskiego, lub jechaliśmy na Bielany, ale pewnego razu dostałem wezwanie do Biura d/s Funkcjonariuszy na przesłuchanie. Zadano mi pytanie, dlaczego się zadaję z takim drobnomieszczaństwem. Przesłuchujący mnie powiedział „Czyż nie możesz znaleźć sobie towarzystwa dziewcząt pracujących w SB? Jeżeli nie chcesz mieć kłopotów to zerwij znajomości z towarzystwem, z którym się zadajesz”. Zrozumiałem, że chodzą za mną skoro wiedzą, z kim się zadaję. Dla tych łobuzów ci sami w zależności od ich potrzeb byli raz proletariatem, a innym razem drobnomieszczaństwem. Uśmiechnąłem się na rady zmiany towarzystwa, bo na to towarzystwo, które mi radzili popularnie mówiło się „kurwy, złodzieje i bezpieka”. Zaprzestałem kontaktów z Soszyńskim i już nie jeździłem na Pragę. Nie chciałem, aby Edek lub któraś z dziewcząt miały kłopoty. Zdawałem sobie sprawę, że mogli wziąć któreś z nich i dać tak w dupę, aż powiedzieliby, że przekazywałem im tajne informacje. Były to wówczas normalne praktyki. My byśmy siedzieli, a oni dostaliby medale, że wykryli groźną siatkę szpiegowską. Soszyński wkrótce poszedł do wojska. Służył w Giżycku w lotnictwie. Jego siostra wyszła za mąż za chłopaka,

który mieszkał z nimi w tym samym mieszkaniu. Po latach spotkałem ją pewnego razu w Warszawie. Wybudowali z mężem na peryferiach Warszawy piękny dom gdzie zamieszkali. Edka nigdy więcej nie spotkałem. Tak rozwiewały się i uciekały w dal znajomości z młodych lat.

Do kościoła nie chodziłem od czasu pracy w MBP, bo gdyby się jeszcze to dowiedzieli to byłyby jeszcze większe nieprzyjemności. Poprzednio, kiedy się uczyłem też nie chodziłem zbyt często, bo ciągła nauka nie sprzyjała temu. Sądzę, że wychowanie religijne otrzymałem przeciętne. Pamiętam jak cała kamienica świętowała, gdy szedłem w Katowicach do I Komunii. Miałem od każdej sąsiadki na pamiątkę z tej okazji święty obrazek. Stało tych obrazków w domu dużo. W Przeclawiu wprawdzie nie uczyłem się ministrantury, bo mnie do tego nie ciągnęło, to jednak do kościoła chodziłem. Przypominałem sobie jak chodząc na chór spoglądałem z góry na ludzi. Na ustach leżały mi wszystkie piosenki kościelne i patriotyczne śpiewane w chórze. Nauczycielka w Przeclawiu zwana Zajchuberką prowadziła od czasów okupacji Niemieckiej i kilka lat za komuny po kryjomu chór do którego należałem. Te piosenki często i bardzo cichutko nuciłem sobie pod nosem tak, aby nikt nie usłyszał, albowiem była to zakazana imperialistyczna trucizna. Wspominałem wyprawy z pocztą na wioski, gdzie byłem tak mile wszędzie witany. Pamiętam jak z Mamą pojechaliśmy do Mielca na bazar, gdzie kupiliśmy dla mnie ubranie. Był to bardzo jasny granat, prawie że niebieski i bardzo mi się to ubranie podobało. Wspominałem odpust w Zielną, festyny, zabawy i tańce ze swoją dziewczyną Miłą. Szczególnie ją bardzo czule wspominałem. Dlaczego tak szybko minęły te czasy chociaż trudne, ale jakże piękne. Zastanawiałem się, dlaczego nie mam nikogo, komu mógłbym się zwierzyć i z ufnością porozmawiać. Kogoś, kto nie zdradziłby mnie. Teraz tkwię w tej „Jaskini lwa” i nie wiem jak się z niej wyrwać. Wiedziałem, że jestem zagrożony, ale nie wiedziałem, co mam robić żeby się z tego wydostać. Każde rozwiązanie wydawało mi się złe, bo prowadziło przez więzienie na Rakowieckiej. Tego typu zagrożenie wisiało tam nad człowiekiem jak miecz nad głową. Gdybym miał Ojca to może on znalazłby jakieś rozwiązanie i pomógłby mi. Z Mamą nie rozmawiałem o tym i kryłem to w sobie, bo nie chciałem sprawiać jej kłopotów. Ona tylko martwiłaby się, a niewiele mi pomogła. Nie widziałem przed sobą żadnej jasnej przyszłości. Gdybym przynajmniej mógł się uczyć, to moja mordęga nie byłaby daremna. Chciałem się uczyć, ale Cwejman nie zgodził się. Odrzucił moje podanie i Julka Góździka na kurs wstępny studiów zaocznych. Domyślałem się, że chodzi o to, abyśmy nie nawiązywali kontaktów z innymi.

Charakterystyczny był stosunek Płk Cwejmana do podległego personelu. Kiedy przychodził na salę aparatury i witał się podając rękę, to odwracał twarz w drugą stronę. Jednego razu por. Rybczyński wyciął mu figla i nie złapał za tą wyciągniętą do niego rękę. Też się odwrócił w drugą stronę i zaczął coś oglądać. Wisiała w powietrzu ta Cwejmana łapa przez jakąś chwilę następnie schował ją i szybko wyszedł. Niczego to jednak go nie nauczyło. Dalej tak postępował.

Jednego razu zarządzono manewry sztabowe na szczeblach dywizji i armii, a łączność na tych szczeblach miało zapewnić MBP na aparaturze WCz. Do tego celu wyznaczono aparaturę TFC, gdyż miała mniejsze wymiary od aparatury SAT i SAS. Była właściwie przeznaczona do pracy w warunkach polowych, więc świetnie się do tego celu nadawała. Aparaturę TFC należało zamontować na kilkudziesięciu samochodach terenowych, a po zamontowaniu mieliśmy czekać na dalsze rozkazy. Każdy z techników dostał jeden samochód i był odpowiedzialny za wykonanie zadania. Do tego celu ściągnięto ze wszystkich WUBP najlepszych ludzi.

Dostałem jeden taki samochód z kierowcą i grupą żołnierzy zapewniającą podłączenie w linię. Do tego dochodziła aparatura TFC, centralka 10-cio numerowa, agregat prądowórczy, schemat połączeń i różne inne detale. Należało to wszystko połączyć i

uruchomić, wyjechać w odległy teren. Nie zależało mi już na dobrej ocenie i w głowie miałem jak najszybsze wydostanie się stamtąd. Stało się tak, że z oceną byłem dopiero na końcu wszystkich. Samochody wyjeżdżały już w teren, a ja jeszcze łączyłem przewody.

Moim zadaniem było dojechanie do określonego na mapie miejsca. Znalezienie tam właściwej telefonicznej linii napowietrznej, podłączenie się w wyznaczoną parę przewodów tej linii i nawiązanie łączności. Po przekazaniu tekstu rozmowy należało łączność zwinąć i udać się w następne miejsce. Szybkość tych manewrów była oceniana według zasady, kto szybciej się zgłosił nawiązując łączność ten był wyżej oceniany. Ja nie nawiązałem łączności wcale. Trudno mi nawet powiedzieć, czy to była moja wina. Być może żołnierze KBW będący wraz ze swoim porucznikiem i kierowcą nie trafili w odpowiednie miejsce na mapie, a może nie włączyli się w odpowiednią linię. Byłem po raz pierwszy zadowolony, że mi się to nie udało. Po powrocie sprawdziłem wszystkie połączenia i całą aparaturę, działała bez zastrzeżeń.

Nie lubiłem aparatury TFC, ponieważ ciągle trzeba było ją regulować. Była wrażliwa na zmianę parametrów linii. Na linii napowietrznej parametry ciągle się w zależności od warunków atmosferycznych zmieniały. W aparaturze znajdował się maleńki bardzo czuły przekaźnik, którym dostrajało się do linii, bo inaczej nie było łączności. Była to aparatura zawodna i bardzo kłopotliwa w obsłudze. Na tej aparaturze WUBP nawiązywały na terenie kraju łączność ze wszystkimi Powiatowymi UBP.

Na dyżurach pracy przybywało coraz więcej. Abonentów na centrali także. Przybywały nowe kierunki łączności. W Polsce szybko rozwijał się przemysł zbrojeniowy i w związku z tym MBP dawało swoją łączność zakładom zbrojeniowym w kraju. Pierwsze z którymi nawiązano łączność WCz był Mielec i Stalowa Wola. W Mielcu pośpiesznie uruchamiano produkcję lotniczą, natomiast w Stalowej Woli produkcję czołgów. W następnej kolejności miała iść łączność ze wszystkimi Powiatowymi Urzędami Bezpieczeństwa Publicznego(PUBP).

Panował okres zimnej wojny, kiedy to otwarcie mówiło się o 3-ciej wojnie światowej. Na zebraniach partyjnych i szkoleniach politycznych mówiło się o schyłku kapitalizmu i że niedługo już nadejdzie chwila, kiedy światowy proletariatus obali imperialistyczny porządek, a my udzielimy mu pomocy, aby jak najszybciej tego dokonać. Można się domyśleć jak ta pomoc miała wyglądać, więc należało wyprodukować jak najwięcej samolotów i czołgów.

Mnie z wiadomych powodów szczególnie interesował Mielec. Przygotowywano tam produkcję pierwszych samolotów typu Mig. Łączność z Mielcem i Stalową Wolą nawiązywano na aparaturze TFC-1, TFC-2 itd. poprzez Rzeszów. W następnej kolejności nawiązano łączność ze wszystkimi PUBP w Polsce. Do tej pory PUBP korzystały z łączności Polska Poczta Telegraf i Telefon (P.P.T i T), lub przy pomocy radiostacji, co nie zapewniało tajności rozmów. Łączność, którą obsługiwałem była całkowicie własnością MBP i obsługiwana przez pracowników SB.

Od abonenta do stacji WCz rozmowa nie była szyfrowana, dlatego te odcinki były najczęściej strzeżone. Pomiędzy stacjami WCz rozmowa była zaszyfrowana podwójnie. Raz, bo szła na wysokiej częstotliwości i trzeba by dopiero specjalnego urządzenia żeby to się udało, a po drugie była zaszyfrowana specjalną aparaturą AS produkcji niemieckiej. Szyfrowano nią rozmowy pomiędzy MBP, a WUBP, oraz pomiędzy poszczególnymi WUBP. W powiatach abonentami stacji WCz byli szef PUBP, 1-szy sekretarz KP.PZPR, oraz przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej, a w takich ośrodkach jak Mielec, Stalowa Wola i podobnych dodatkowo telefon WCz mieli dyrektorzy tych przedsiębiorstw, które produkowały uzbrojenie dla wojska.

Aparatura AS była urządzeniem służącym do takiego zniekształcenia rozmowy, aby ta nie była zrozumiana. Abonent mówił normalnym tekstem wprost do słuchawki, a jego rozmowa przychodząc na stację WCz wchodziła na aparaturę AS, gdzie zostawała

zaszyfrowana. Następnie przechodziła na aparaturę telefonii nośnej(WCz) i była przenoszona do innego miasta, gdzie po demodulacji na stacji WCz wchodziła na aparaturę AS. Na AS-ie była rozszyfrowana i przekazana abonentowi rozmawiającemu.

Było to robione w tym celu, aby uniemożliwić podsłuch na linii międzymiastowej. Gdyby ktoś włączył się w linię m/m na podsłuch i nawet miał dobrany odpowiednio zespół filtrów z modulatorem i demodulatorem to i tak rozmowy nie zrozumiałby. Słyszałby jedynie głos podobny do szczekającego psa nic nie rozumiejąc. Żeby rozmowę taką zrozumieć należałoby dodatkowo to „szczekanie psa” przerobić w aparaturze AS, a to na ówczesne warunki było praktycznie niemożliwe.

Zauważyłem jednego razu na dyżurze, że taka zaszyfrowana rozmowa przyszła z linii rozszyfrowana jeszcze przed AS-em. Zacząłem te sprawdzać i stwierdziłem, że rozmowa ta pochodziła z przesłuchu z sąsiedniej linii. Była na tamtym kierunku zaszyfrowana i jakimi dziwnym sposobem przyszła rozszyfrowana. Zastanawiałem się, co mogło być przyczyną. Ponieważ nikt o tym nie wiedział nie wpisałem o tym do dziennika. Coraz mniej się ich po ostatnich wydarzeniach bałem, a poza tym było mi już wszystko jedno.

Uczyłem się w szkole o czwórnikach i że każda długa linia jest czwórnikiem z takimi elementami jak oporność, indukcyjność i pojemność. Jest takim zespołem czwórników także dwie biegnące obok siebie linie. Jeśli więc wspomniana rozmowa w postaci przesłuchu przeszła z linii na linię, to przeszła przez czwórnik, na którym została rozszyfrowana. Zbieg okoliczności spowodował, że elementy czwórnika linii zgadzały się z elementami aparatury AS, co spowodowało rozszyfrowanie rozmowy. Wychodził z tego wniosek, że aparatura AS jest zespołem czwórników, który poszczególne częstotliwości mowy przyspieszają względnie opóźniają, co w efekcie powoduje całkowite zniekształcenie mowy. Wystarczyło tylko odpowiednio dobrać elementy czwórnika, albo pomierzyć je na wyjściu aparatury AS, aby można podsłuchać rozmowę. Dostęp do AS-w miał tylko jeden pracownik Kluk. Miał własną pracownię, do której tylko on miał dostęp. Aparatura AS była dokładnie zaplombowana, a ja w wypadku jej awarii mogłem ją tylko włączyć lub wyłączyć. Kluk ściśle strzegł tajemnic aparatury AS.

Pewnego razu w złości zacząłem krytykować aparaturę AS, bo w rzeczywistości posiadała ona wiele mankamentów. Wprowadzała w kanale wysokie tłumienie obniżając jakość rozmowy, a jej awaryjność była ogromna. Nie było dyżuru, aby któryś z AS-ów się nie zepsuł. Powiedziałem raz w złości, że AS-y nie są skuteczne, bo są zespołem czwórników, które można dobrać, a w efekcie podsłuchać rozmowę. Ktoś usłużny doniósł to Kamińskiemu, a był on prawą ręką Cwejmana i też Żydem. Kamiński zaczął mnie o to wypytywać. Chodziło o to, skąd o tym wiem. Być może myślał, że ktoś mi powiedział. Opowiedziałem mu jak na to wpadłem i wymieniałem linie, na których te zjawisko spostrzegłem. Zakazał mi rozmawiać na ten temat. Nikt więcej na ten temat nie rozmawiał ze mną.

Wkrótce zmienili linię i aparaturę AS na tych kierunkach, ale wiadomo dlaczego tak się stało. Natomiast ja zrozumiałem, że wiedzą iż poznałem tajemnicę AS pomimo że tak bardzo jej strzegą. Od tego momentu rozpoczęły się przeciwko mnie represje.

Zawezwano mnie na egzekutywę. Był tam kpt. Dyr, płk Cwejman, dwie osoby z Departamentu Łączności i Firlej, albowiem ten ostatni tak się zasłużył, że wybrano go do egzekutywy Wydziału 2-go. Postawiono mi zarzut, że zaniedbuję się w pracy i nie chcę wykonywać czynów społecznych. Byłem akurat po dyżurze, na którym jak zwykle miałem nerwówkę, więc byłem podenerwowany. Gdy usłyszałem zarzuty przelała się miarka i nie wytrzymałem. Tego było już za wiele. Do tej pory jakoś dziwnie pokornie przyjmowałem wszystko, czym mnie obarczano. Tym razem zareagowałem ostro. Było mi już tak wszystko jedno, że przestałem się bać. Zdenerwowany zwróciłem się do kpt. Dyra swojego bezpośredniego zwierzchnika i prawie wrzasnąłem odpierając zarzuty.

--- Jakie tu są warunki pracy? Krzyknąłem? Proszę obejrzeć stada pluskiew, które

gnieżdżą się w każdym miejscu na stacji. Za takie marne pieniądze jak my tu pracujemy jeszcze się nas zmusza do robienia czynów społecznych. Kiedy mam te czyny społeczne robić jeśli po dyżurze jestem kompletnie wykończony. Proszę przejść na stację aparatury to wszystko pokażę.

Ci dwaj z Departamentu Łączności nie znali tych spraw, więc zażyczyli sobie sprawdzić fakty. Z dziennika, na którym zapisujemy wszystkie zdarzenia wytrzepałem na stół kilka pluskiew i aby zwrócili uwagę na pomieszczenie nie mające klimatyzacji i możliwości przewietrzania. Na końcu krzyknąłem za takie marne pieniądze jeszcze się nam każe robić czyny społeczne.

Zdębiałem, gdy już to wszystko wykrzyczałem. Sam się zdziwiłem, że odważyłem się tak ostre zareagować. Okazało się, że było to potrzebne. Nie obawiałem się, bo wszystko, co mówiłem było prawdą. Kpt. Dyr nigdy nie miał do mnie żadnych zastrzeżeń. Sądzę, że uważał mnie za jednego z lepiej wykonującego swoje obowiązki, więc to, co mi zarzucano wychodziło z zupełnie innego źródła. Było to wyraźne tworzenie negatywnej opinii o mnie.

Opiszę teraz wypadek, który mógł być najgroźniejszy w skutkach dla mnie. Kiedy analizuję ten wypadek wynika z niego, że była to sprowokowana akcja, aby mnie oskarżyć o podsłuch i usunąć wraz z posiadłymi tajemnicami.

Na pewnej nocnej zmianie telefonista z centrali zgłosił mi, że nie może dodzwonić się do Konstancina siedziby ministra MBP, Radkiewicza. Sprawdziłem, linia i aparat telefoniczny wydawały mi się dobre. Mogło tam nie być dyżurnego, który o każdej porze powinien być przy telefonie WCz. Najprawdopodobniej zasnął, co się często zdarzało. Wiedziałem, że gabinet Radkiewicza znajduje się w Konstancinie w pobliżu gabinetu Bieruta. Ci ówczesi „władcy” mieli w Konstancinie swoją rezydencję. Pomyślałem sobie, że jeśli zatelefonuję do gabinetu Bieruta, to dyżurny podejdzie do gabinetu Radkiewicza i sprawdzi, co się dzieje. Zadzwoiłem, ale słuchawkę podniósł nie dyżurny tylko sam Bierut. Poznałem go po głosie.

--- Słucham powiedział.

--- Bardzo proszę towarzyszu, aby dyżurny poszedł do gabinetu Radkiewicza i sprawdził ze mną łączność WCz, bo nie możemy się tam dodzwonić. Powiedziałem.

--- Dobrze, powiedział i odłożył słuchawkę. Przełączyłem się następnie na aparat Radkiewicza i czekałem. Po chwili zgłosił się dyżurny. Sprawdziliśmy łączność, wszystko było w jak najlepszym porządku. Zgłosiłem telefoniście, że linia abonencka jest sprawna i zająłem się innymi sprawami. Rano zdałem dyżur i pojechałem spać do hotelu.

Wziąłem kąpiel i położyłem się, ale jeszcze dobrze nie zasnąłem, kiedy zaczęto dobijać się do drzwi. Było to 2 cywilów z Biura ds. Funkcjonariuszy SB. Zabrali mnie na stację WCz, gdzie był już telefonista. Zaczęli mnie i jego na zmianę przesłuchiwać. Ten durny baran, telefonista zeznał i wpisał do dziennika u siebie, że ja bez żadnej przyczyny włączałem się w linię do Bieruta, kiedy była tam rozmowa. Ten idiota zauważył, że włączałem się w tą linię, ale tam już żadnej rozmowy nie było. To właśnie on po jakiejś wcześniejszej rozmowie Bieruta nie wyciągnął zaraz wtyczki na centrali po skończonej rozmowie. Chciał się zrobić czujnym, o czym ciągle nas przestrzegano. Tą czujność na wrogów i szpiegów wbijano nam do głowy na każdym kroku. Kiedy telefonista po moich wyjaśnieniach nie wycofał oskarżenia zrozumiałem, że może być niedobrze. Na szczęście funkcjonariusze gdzieś na chwilę wyszli, a ja korzystając z tego poszedłem na stację WCz skąd zatelefonowałem do gabinetu Bieruta. Miałem szczęście, bo zgłosił się on sam. Zameldowałem się, że jestem technikiem ze stacji WCz i zapytałem wprost.

--- Czy pamiętacie towarzyszu jak w nocy prosiłem, aby dyżurny poszedł sprawdzić telefon w gabinecie tow. Radkiewicza.

--- Tak pamiętam, a o co chodzi?

Wyjaśniłem mu, że włączałem się w linię, żeby z nim rozmawiać, a teraz przez ten fakt podejrzewany jestem o podsłuch.

--- Tak, dobrze ja to załatwię, powiedział, po czym odłożył słuchawkę.

Zrobiłem to zupełnie instynktownie i bez zastanowienia, tak jakby coś kierowało mną aby to zrobić. Gdy przyszli przesłuchiwało mnie dalej, ale po pewnym czasie jeden z nich zawołany został do telefonu. Gdy wrócił zaczęli między sobą po cichu szeptać i w końcu jeden z nich powiedział.

--- Jesteście wolni towarzyszu, wszystko wyjaśniliśmy i jest w porządku, ale dlaczego takimi bzdurami zawracacie głowę towarzyszowi Bierutowi. On ma tyle państwowych spraw na głowie, a wy jeszcze z takim czymś występujecie. Zaczęli mnie uświadamiać.

Spokojnie tego wysłuchałem, ale w rzeczywistości zdawałem sobie sprawę z tego, co stałoby się ze mną gdybym do Bieruta nie interweniował. Udało mi się, ale jak długo tak będzie tego nie wiedziałem. Wiedziałem, że wisi nade mną zagrożenie.

Wkrótce po tym była wpadka z płk Światło, który zwiął na zachód. Był on jednym z głównych reżyserów w MBP i znał wiele tajemnic. Wiele spraw dzięki niemu wyszło na zachodzie na jaw. Sypał po kolei wszystko, co wiedział. Nie wiadomo ile wiedział na temat systemu łączności. Sądzę, że niewiele, ale po jego ucieczce zaczęto przebudowywać całą strukturę organizacyjną w Departamencie Łączności. Znacznie przyspieszono prace przy uruchomieniu nowej stacji TkN (WCz) przy ulicy Chocimskiej.

Uratowała mnie w marcu 1953 śmierć Stalina, po której nastąpiły bardzo szybkie zmiany w MBP. Zmiany po ucieczce płk Światło już następowały, ale po śmierci Stalina uległy znacznemu przyspieszeniu. Zaczęto usuwać z wyższych stanowisk Żydów. Po kolei z wyższych stanowisk zwalniano Żydów, aż wreszcie przyszedł czas na naszego płk Cwejmana. Był on przez znaczną większość pracowników wydz. 2-go z różnych powodów nie lubiany, a nawet znienawidzony. Odszedł całkowicie z MBP i pracował jako naczelnik głównej poczty i telekomunikacji na Ul. Nowogrodzkiej. W tamtych czasach tam właśnie była poczta główna. Dowiadywałem się o nim od kolegów, którzy tam pracowali. Wynikało z tych informacji, że jego stosunek do podwładnych nie zmienił się.

Często zastanawiałem się dlaczego Żydzi w aparacie represji, jakim było MBP odgrywali tak ważną rolę. Jakoś do naszej socjalistycznej wówczas rzeczywistości nie pasowali ludzie, w których rękach zgromadzony był największy światowy kapitał.

Wiele lat później, gdzieś w 2000 roku, kiedy napisałem swoje Wspomnienia, mój siostrzeniec umieścił je bez mojej zgody w Internecie. W wyniku powyższego dostałem pocztą elektroniczną ciekawy list. Napisał go ze Szwecji syn płk Izraela Cwejmana. Z listu wynikało, pewne usprawiedliwienie działalności ojca zwalając winę na panujący system, a mianowicie, że jego ojciec podobnie się bał jak ja, więc działał w obronie własnej. Zarzucał mi jednocześnie antysemityzm. Odpisałem pod wskazany adres, polemizując z zarzutami i chcąc poznać dalsze losy swego ciemieżcy. Niestety nie dostałem w odpowiedzi żadnej informacji.

Często wspomnieniami wracam do słów syna Cwejmana i dochodzę do wniosku, że miał rację pisząc iż jego ojciec działał w obronie własnej. Tak właśnie działał system totalitarny, a mianowicie wszyscy od góry w dół byli zagrożeni i bali się o swoją skórę. Cwejman, gdyby wyszła sprawa mojego mówienia o tajemnicy AS-ów, a on nic nie zrobił, to nie wiem co by z nim było. Natomiast jeśli wydał mnie śledczym pod „obróbkę”, to ratował swoją skórę, a oni by mnie załatwili. Obroniłem się, bo zadziałał mój instynkt samozachowawczy, może opatrność i sprzyjające okoliczności. Gdyby nie to, moja mama dowiedziała by się, że coś się ze mną stało, ale nie dowiedziała by się nigdy prawdy. Byliśmy przeznaczeni z Góździkiem jako sieroty bez rodzin do takiego celu, aby po wykonaniu zadania można było nas, wraz z posiadanymi tajemnicami unicestwić. Naszym panem życia i śmierci był płk Izrael Cwejman. Panujący stalinowski system totalitarny wprawdzie zagrażał

także jemu, ale dawał mu nieograniczoną władzę nad nami. Tak działał system mający służyć proletariackiemu społeczeństwu.

Wracając do swojej opowieści, na miejsce Cwejmana naczelnikiem Wydziału 2-go Dep. Łączn. MBP został mianowany mjr Orzechowski. Przyszedł do nas z Wojsk Ochrony Pogranicza(WOP). W tamtych czasach WOP zarówno jak KBW (Korpus Bezpieczeństwa Publicznego) podlegały MBP.

Zacząłem się lżej pracować. Nastąpiła wyraźna ulga, w powietrzu nie wisiało już zagrożenie. Wydawało się, że lżej się oddycha. Gdyby się założyło, że ta praca odbywa się w normalnych warunkach, a nie w systemie zakłamania i terroru, to byłaby to całkiem dobra praca. Gdyby nie to, można by ją nawet polubić. Na stanowisku starszego technika którym byłem, mogłem awansować do stanowiska majora, bo taki był na to stanowisko najniższy etat. Gdybym jeszcze mógł studiować byłby to szczyt moich marzeń. Oni jednak obrzydzili mi tą pracę tak, że już nie chciałem tam pracować. Dyr, Kuczyński, Rybczyński i inni chodzili już na studia, ale na mnie Cwejman nie wyraził zgody, co jeszcze bardziej zniechęciło mnie do pracy. Być może teraz jak nastąpiły pewne zmiany mjr Orzechowski zgodziłby się na moje studia, ale ja już nie myślałem o tym. Nawet perspektywa wyższych zarobków nie mogła mnie zatrzymać. Gdy przyjeżdżałem do Przeclawia, dowiadywałem się jakie wysokie zarobki są w mieleckiej WSK. Ja w porównaniu z nimi zarabiałem marnie grosze wykonując bardzo odpowiedzialną pracę. Gdyby nie to, co przeżyłem łącznie z tym jak bezczelnie z butami wchodzili w życie osobiste, to może dobrze byłoby tam pracować, ale nie w wypadku komunistycznego totalitaryzmu, w którym traktowano ludzi jak przysłowiowe bydło.

Częściej udawało się teraz pojechać do Przeclawia. Łatwiej było zamienić się z dyżurami i uzyskać zgodę na wyjazd. Mama mieszkała już z siostrą, więc było jej łatwiej.

Gdy byłem w Przeclawiu często nachodziły mnie wspomnienia przeżytych chwil, tych pięknych i tych trudnych. Te ostatnie przypominały mi się, gdy spotykałem pewnych ludzi gnębiących mojego ojca za okupacji niemieckiej. Byli teraz do mnie bardzo mili. Sprawy krzywd wyrządzanych Ojcu przez nich za okupacji zacierały mi się. Doskonale wiedziałem, że kilkoma słowami mogłem im bardzo zaszkodzić, ale nie byłem mściwy. Zastanawiałem się, dlaczego miałem taki charakter, że w obronie własnej i swoich spraw, potrafiłem wzniesć się na wyżyny i bronić dopiero wtedy, gdy byłem całkowicie przyparty do muru. Mściło się to na mnie w pracy w MBP, a także w późniejszym życiu.

Staralem się żeby w święto Matki Boski Zielnej przyjeżdżać do Przeclawia, ale wszelkie atrakcje, które z Zielnej wynikały nie bawiły mnie już. Radość wyparowała ze mnie, a przecież miałem dopiero 25 lat. Znajomość z kolegami i koleżankami rozwiewała się.

Po powrocie do Warszawy poważnie myślałem o zwolnieniu z pracy w organach BP. Stawało się to już coraz bardziej realne. Ta myśl zaprzętała moją głowę i zastanawiałem się jak wprowadzić to w czyn. Tym bardziej, że z Warszawą niewiele mnie łączyło. Nie lubiłem Warszawy, jej komunikacji, ciągłego wszędzie tłoku i hałasu. Wprawdzie Warszawa piękniała z roku na rok, znikwały gruzy i szybko powstawały nowe dzielnice, ale ja nie potrafiłem się do niej dostosować. Z przyczyn, o których wcześniej pisałem nie prowadziłem życia towarzyskiego. Stare przyjaźnie rozwiewały się, a nowych nie warto było nawiązywać. Dlatego nie mam wiele fotografii z tego okresu.

Często w pracy rozmawiałem ze starszą panią, będącą u nas sprzątaczką. Była ona typem swatki. Interesowało ją czy mam dziewczynę czy nie. Powiedziałem jej, że nie mam dziewczyny, bo była to prawda. Wyjaśniła mi, że ma znajomą młodą pielęgniarkę, która chętnie ze mną się zapozna. Zgodziłem się na propozycję, więc zapoznaliśmy się. Była bardzo sympatyczną, starszą ode mnie o 2 lata dziewczyną. Mieszkała w hotelu razem z innymi koleżankami i pracowała na dyżurach w szpitalu. Często chodziłem do nich do hotelu. Ona i koleżanki były bardzo serdeczne. Załatwiały bilety na różne imprezy czy do teatru i chodziliśmy tam razem. Świetnie się czułem w tym towarzystwie, bo nie było w nich obłudy

ani zakłamania. Parę razy przemyciłem ją do hotelu wprowadzając w błąd portiera. Była pierwszą moją dziewczyną, którą miałem za czasów pracy w MBP. Wszystkie poprzednie znajomości rozleciały się z przyczyn, które wcześniej opisałem. Lubiłem się z nią spotykać ona ze mną też. Nie zwracałem już uwagi czy będzie się to komuś podobać czy nie. Przestałem się bać i było mi wszystko jedno. Wydawało mi się, że na skutek odwilży w MBP nie chodzili już tak jak poprzednio za nami. Nie podpowiadali, z kim się mam zadawać, a z kim nie.

Przemiany jakie następowały, powodowały że zwolnienie stawało się to coraz bardziej realne. Postanowiłem że najpierw spróbuję się przenieść do Rzeszowa, motywując tym, że w Przecławiu mam Matkę i muszę jej pomagać. Znałem kierownika stacji WCz w Rzeszowie kpt. Fabera. Gdy miałem służbę, on tak jak wszyscy podlegał mi bezpośrednio. Powiedziałem mu o tym podczas jakiejś rozmowy na liniach Wcz. Na kierunku rzeszowskim pobłażliwiej traktowałem dyżurnych, gdy któryś z nich zasnął. Faber zapewnił mnie, że ma miejsce dla mnie i mogę spokojnie załatwić przeniesienie do Rzeszowa. Byli tam przypadkowi ludzie, potrafiący wtyczkę włożyć na centrali i nic poza tym. Gdy coś się u nich zepsuło, musiałem żądać, aby ściągali Fabera, lub zastępcę naczelnika Wydziału Łączności mjr Bieleckiego, gdyż tylko oni potrafili coś naprawić. Ucieszyli się obaj, że chcę do nich przyjść pracować.

Być może błędnie uznałem, że aby wydostać się z MBP trzeba najpierw przenieść się do Rzeszowa, ale wówczas widziałem to, jako jedyny środek, który doprowadzi mnie do wyznaczonego celu. Terror, chociaż zelżał, to jednak w dalszym ciągu panował, a ja nie chciałem wyjść z tego okaleczony.

Napisałem raport (podanie) o przeniesienie do Rzeszowa adresowane do dyrektora Departamentu Łączności MBP. W tym czasie dyrektorem nie był już Rosjanin płk Suczek, ale Polak, którego nazwiska nie pamiętam. Był to okres, w którym Rosjanie opuszczali zajęte przez siebie stanowiska. Naczelnik Wydz. 2-go, Dep. Łączn. MBP major Orzechowski poparł mój raport i teraz należało cierpliwie czekać. Wiedziałem, że sporo czasu upłynie zanim się zgodzą, gdyż wiele służb musiało na to wyrazić zgodę, a w nim najważniejsze Biuro d/s Funkcjonariuszy MBP. Nie dawano mnie już do pracy na nowo montowaną stację WCz za kinem Moskwa, co było dobrym prognostykiem, że mój raport zostanie pozytywnie załatwiony. Nie chcieli abym poznawał zmiany i nowości, które na nowej stacji wprowadzali. Były to ściśle strzeżone tajemnice wprowadzane zgodnie z zaleceniami po ucieczce płk Światło. Nie paliłem się, aby to poznawać, gdyż zdawałem sobie sprawę, że jeszcze trudniej byłoby mi się stamtąd wydostać.

Czekałem już tylko na oficjalne przeniesienie do Rzeszowa. Niektórzy z współpracowników mówili, jaki jestem głupi, że z Warszawy przenoszę się do Rzeszowa. Warunki znacznie się już wtedy poprawiły. Nie było płk Cwejmana, więc nie miał nas kto gnębić. Nie chodzono już też za nami tak jak poprzednio. Miałem starszego technika i stopień starszego sierżanta, ale na to stanowisko był etat majora i mogłem do tego stopnia awansować. Z czasem przyszyłyby też większe pieniądze. Ja jednak wbiłem sobie do głowy, że za wszelką cenę wyrwę się z tamtej pracy i nic nie mogło mnie powstrzymać. W Warszawie miałem pensję 1400zł, a po przeniesieniu traciłem 200 zł. Na owe czasy nie były to wielkie pieniądze. Nie pamiętam jak kształtowało się to do cen. Wystarczało jednak na moje kawalerskie życie, chociaż niewiele zostawało. Potrzeby przeciętnego obywatela wówczas nie były wysokie. Startowało się od minimum. Każdy kto chciał pracować ten miał pracę, więc jeśli choć trochę stopa życiowa się podnosiła to ludzie się cieszyli. Nie kupowało się zbyt kłopotliwych przedmiotów, bo ludzie ich nie znali. Dopiero później były pralki, telewizory i samochody. Jeśli coś można było kupić za zapracowane pieniądze to jakieś radio, byle jaki mebel czy patefon na płyty. Były przeważnie tylko towary, które wyprodukował nasz podnoszący się z gruzów przemysł.

Wreszcie doczekałem się przeniesienia do Rzeszowa. Ze stolicą żegnałem się bez żalu. Nigdy nie lubiłem wielkomiejskiego zgiełku. Zła komunikacja i ten ciągły hałas dobijały mnie, a jeszcze przez pracę w MBP kompletnie ją znienawidziłem. Nawet później, gdy odwiedzałem stolicę, czułem się szczęśliwy, gdy byłem poza rogatkami miasta. Czyżbym pod tym względem nie był podobny do swego Ojca, który również z miasta takiego jak Katowice uciekł do Przecławia?

Pracę w Rzeszowie rozpocząłem w 1954 roku. Nie było tam presji takiej jak w Warszawie za Cwejmana. Nie pracowałem na dyżurach, więc częściej mogłem na niedzielę pojechać do Przecławia odwiedzić mamę. Na stacji WCz, kierownikiem był Faber, naczelnikiem stacji był kpt. Bielecki, natomiast naczelnikiem Wydz. Łączności był mjr Milcarek.

Rzeszowska stacja WCz posiadała trzy kierunki łączności na aparaturze SAS i SAT. Jeden kierunek był z Warszawą, drugi z Krakowem, a trzeci z Lublinem w każdym kierunku po 3 kanały. Była także łączność na aparaturze TFC z Mielcem i Stalową Wolą. Ze względu na znaczenie były to pierwsze powiaty, z którymi nawiązywano łączność na liniach WCz.

Otrzymałem zadanie nawiązywanie łączności z pozostałymi powiatami w województwie Rzeszowskim. Wojsko KBW budowało linie, lub wypożyczało je od poczty i doprowadzało do urzędów. Szefowie wyznaczali odpowiednie pomieszczenia, a ja z dwoma monterami i samochodem jeździliśmy po powiatach montować i uruchamiać łączność. W jednym pomieszczeniu montowaliśmy aparaturę TFC, centralkę telefoniczną i całą pozostałą instalację, natomiast w drugim pomieszczeniu, przeważnie w piwnicy robiliśmy małą akumulatornię z prądotwórczym agregatem na wypadek zaniku sieci elektrycznej. Była to spokojna praca w terenie. Nikt mnie nie popędzał i nie odbywało się to w tak nerwowej atmosferze jak w Warszawie.

Zrobiłem stacje WCz w Leżąnsku, Brzozowie i Sanoku. Szczególnie Sanok bardzo mi się podobał malowniczo położony nad Sanem. Później zrobiłem Lesko, gdzie byłem świadkiem pewnego wydarzenia. Gdy wykonywałem montaż często przychodził na pogawędkę pewien operacyjny pracownik Urzędu. Miał wesołe usposobienie, lubił śmiać się i żartować. Ze względu na tą cechę lubiłem z nim rozmawiać.

Pewnego razu przywieźli młodą dziewczynę w wieku około 25 lat. Umieścili ją w areszcie znajdującym się w piwnicy, a on ją przesłuchiwał. Przyszedł później i opowiadał, że ta dziewczyna przyjechała z Warszawy pociągiem do Zagórza leżącego nieopodal Leska. Następnie wyruszyła pieszo w kierunku granicy. Miała na sobie kilka wiejskich kiecek, które coraz to zmieniała na sobie. Wzięła na plecy grabie i tak w chustce na głowie doszła do sowieckiej granicy, przekroczyła ją i tam została przez Rosjan złapana. Nie wiadomo co Rosjanie z nią robili i co im zeznała, gdy ją przesłuchiwali, ale Rosjanie przekazali ją na polską stronę. Przejął ją PUBP w Lesku leżący najbliżej granicy. Nie było jeszcze wtedy Ustrzyk, gdyż w tym czasie należały jeszcze do ZSRR. Tutaj w Lesku ten wesoły ubek przesłuchiwał ją. Widziałem jak ją od niego wyprowadzali. Miała na twarzy krew, ale szła z uśmiechem na ustach. Pomyślałem sobie o niej „*twarda sztuka*”. Ten oprawca drwił później z niej. Mówił że się tłumaczyła, iż lubi rosyjskich oficerów i dlatego tam poszła. Pomyślałem sobie, że jeśli była psychicznie chora, to mogła to być nawet prawda. Któż to wie. Następnego dnia odwieźli ją do Rzeszowa, ale ja całkowicie straciłem sympatię do tego człowieka i nie potrafiłem już rozmawiać z nim.

Było to pierwszy raz, kiedy zobaczyłem ich ofiarę. Nie było tajemnicą co te łobuzy robią z ludźmi i wiedziałem o tym wcześniej, ale teraz na własne oczy pierwszy raz to zobaczyłem.

Stanąły mi przed oczami klapki na centrali WCz w Warszawie, a pod tymi klapkami wiele nazwisk najwyższych władz PRL z Bierutem, Cyrankiewiczem, ówczesnymi ministrami rządu, ministrem BP Radkiewiczem i dyrektorami departamentów MBP takimi jak

Fejgin, Róžański i inni. Pragnę wyjaśnić co nazywam klapką na centrali, gdyż dla młodszych może to być niejasne. Otóż w centrali, w której ręcznie łączyło się abonentów, nad każdym gniazdkiem abonenta znajdowała się mała metalowa klapka, która opadała w momencie podniesienia słuchawki przez abonenta i tym sposobem sygnalizowała, że abonent prosi o połączenie. Pod tą klapką znajdowało się nazwisko abonenta, lub nazwa wydziału czy departamentu, ale najczęściej nazwisko.

Zadawałem sobie pytanie, ile krwi ludzkiej znajduje się pod każdą z tych kłapek? Jak wiele poprzez linie WCz, szło wyroków śmierci, wiadomości o sfingowanych procesach i wszystkich tych morderstwach, których się dopuścili. Miałem świadomość co się dzieje, że ludzi się za byle co zamyka i morduje. Nie znałem jedynie szczegółów, które obecnie otwarcie się ujawnia, a o których po cichu, poprzednio dowiadywało się społeczeństwo z ust do ust. Przez lata pracy na szkoleniach i zebraniach partyjnych ciągle wbijano do głowy i utwierdzano w przekonaniu, że trwa walka klasowa, więc muszą być ofiary, aby kiedyś móc zbudować społeczeństwo pełne dobrobytu i szczęśliwości. Kluczem do tego miała być gospodarka planowa, zcentralizowane w kołchozach rolnictwo, upaństwowiony przemysł i laicyzacja społeczeństwa. Przyjaźń Związku Radzieckiego i innych krajów demokracji ludowej miały nam pomóc w osiągnięciu tego celu. Jeśli były pewne wątpliwości, to w miarę wlewania do głów tych ciągłych informacji, młodemu człowiekowi wydawało się że to wszystko jest prawdą i za kilkadziesiąt lat uda się zbudować na tych zasadach dobrobyt na którym wyrośnie szczęśliwe społeczeństwo. Nikt wówczas nie wiedział, że po latach, przez tą gospodarkę planową i upaństwowienie wszystkiego co się da, ten system sam runie w gruzach. Jednakże w tamtym okresie, w ten właśnie sposób usprawiedliwiano pewne działania.

W Rzeszowie zamieszkałem na prywatnej kwaterze. Zajmowałem pokój przy pewnej rodzinie na 1-szym piętrze przy ul. Grunwaldzkiej. Nie miałem dostępu do kuchni tylko sam pokój. Mieszkanie w takim pokoju, który nie miał nawet zamknięcia było dla mnie bardzo krępujące. Nigdy jednak nie wybrzydzałem, byłem przyzwyczajony żyć w trudach.

Jeszcze będąc w Warszawie słyszałem o szybko rozwijającej się Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego (WSK) w Mielcu. Nadstawiałem ucha na wszystkie dochodzące stamtąd nowinki. Mielecka WSK wybudowana została przed wojną od zera w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP). W przeciągu kilku lat wybudowano hale produkcyjne i lotnisko. Już w 1938 roku wyszły stamtąd pierwsze samoloty całkowicie skonstruowane przez polskich konstruktorów. Były to 2-silnikowe bombowce szturmujące zwane Łoś. Ich parametry techniczne przewyższały porównywalne z nimi samoloty niemieckie. Wojna przerwała dalszy rozwój WSK, a Niemcy przeprowadzali tam remonty własnych samolotów.

W latach 50-tych Mielec szybko się rozwijał i był oczkiem w głowie ówczesnych władz. Rozwój ten dotyczył tak WSK jak i miasta i całego tamtejszego regionu. Ściągano z całej Polski najlepszych fachowców oferując im dobrze płatną pracę i mieszkania. Budowano bardzo szybko bloki mieszkalne dla swoich pracowników. Wychodziły już stamtąd pierwsze samoloty odrzutowe typu Mig produkowane na radzieckiej licencji i technologii.

Postanowiłem, że tam właśnie podejmę pracę, gdy tylko uda mi się wydostać z dotychczasowej pracy. Zacząłem porównywać swoje zarobki z tymi które były w WSK. Miałem stałą pensję 1200 zł, natomiast w WSK pracując w akordzie miałbym płacę w zależności od ilości wykonanych zadań. Bardzo mi to odpowiadało, gdyż pracy się nie bałem.

Na stacji WCz w Mielcu, pracował Marian Staniszewski. Obsługiwał tam aparaturę TFC i centralkę. Znałem go po linii łączności jeszcze od czasów pracy w Warszawie. Nie widzieliśmy się do tej pory, a on miał zobowiązania wobec mnie, bo często darowałem mu, gdy zasnął w nocy na centrali. Chętnie więc udzielał mi informacji na temat mieleckiej WSK. Rozmawiałem z nim o tych sprawach po liniach łączności z Warszawy, a także z Rzeszowa. Opowiadał mi, że pracując w WSK można było zarobić kilka razy więcej niż marne 1200 zł,

jakie miałem w Warszawie i później w Rzeszowie. Pamiętam jak jednego razu odwiedziłem go w domu. Poznaliśmy się wówczas osobiście, pieczętując znajomość alkoholem.

Prowadziłem dorywczą korespondencję z Ludwiką Komorek poznaną dawniej w Przecławiu. W jednym z listów zapraszała mnie, abym przyjechał do Krościenka n/Dunajcem gdzie mieszkała. Zapraszała mnie także w imieniu swojego szwagra ożenionego z jej najstarszą siostrą. Poznałem go na kursie listonoszy w Krakowie gdzie obaj byliśmy. Był to starszy i obarczony rodziną mężczyzna.

Umówiłem się z Ludką, gdyż takie było zdrobnienie jej imienia i pewnego razu pojechałem do Krościenka. Jechało się tam pociągiem do Nowego Sącza, a stamtąd autobusem już na miejsce. Przyjechałem w godzinach popołudniowych i natychmiast zostałem urzeczony pięknem Pienin. Czegoś podobnego nigdy nie widziałem, bo tak naprawdę mówiąc nigdzie dotąd nie byłem. Znałem w Warszawie Bielany, ale przecież nie mogły się one równać Pieninom. Nie mogły się także równać Pieninom, te okolice Żywca jak Jordanów, dokąd z Mamą i siostrą jeździliśmy przed wojną na wakacje. Było to dla mnie coś wspaniałego. Szumiący po kamieniach czysty jak łąza Dunajec. Góry z piękną soczystą i pachnącą zielenią. Strumyki, łąki i zapach siana, a także pasące się na zboczach owce. Podobały mi się na Podkarpaciu Brzozów i Lesko, malowniczo położony był Sanok z wijącym się u jego stóp Sanem, ale gdzie im tam było do Pienin. Tego co dotąd widziałem nie dało się nijak porównać z Pieninami.

Następnym razem, gdy tam pojechałem poszliśmy na Trzy Korony, a później spływem Dunajca z Czorsztyna do Szczawnicy. Piękno Pienin swoimi wspaniałymi widokami urzekło mnie. Czar spowijał mnie coraz bardziej. Ludka podobała mi się, więc zacząłem układać swoje życiowe plany na przyszłość. Biegł mi już 27-my rok życia i wydawało mi się że już najwyższy czas, aby ze swoim życiem coś zrobić. Byłem już w Krościenku kilka razy.

Pamiętam jak jednego razu, kiedy byliśmy już po słowie, pojechałem do Krościenka. Wsiadłem w Nowym Sączu z pociągu i okazało się, że do Krościenka nie ma już żadnego autobusu. Musiało już być po sezonie, bo ostatni autobus odjechał, a w tamtym kierunku jechał tylko autobus do Zabrzeża. Stamtąd miałbym do Krościenka jeszcze 9 km. Nie miałem innego wyjścia, więc pojechałem tym autobusem. Liczyłem, że może stamtąd trafi się jakaś okazja. Było już ciemno gdy wsiadłem w Zabrzeżu i zacząłem iść w kierunku Krościenka. Na całej trasie biegnącej wzdłuż Dunajca nie było żadnej wioski ani nawet pojedynczych domów. Nie minął mnie na tej trasie żaden samochód, wóz konny czy nawet pieszy człowiek. Samochodów było wtedy niewiele, a ruch turystyczny dopiero się rozwijał. Dotarłem do Krościenka, ale nie byłem zmęczony, raczej zadowolony. Spacer do Krościenka okazał się niezapomnianą przygodą. Całą drogę była bezwietrzna pogoda, panowała cisza i spokój. Słyszałem tylko swoje kroki odbijające się echem od wody i zbocza góry za Dunajcem. Słysząc było pluskanie fal Dunajca, a przez chmurki widać było przesuwający się sierp księżycy. Czubki świerków na zboczach poruszały się delikatnie przy lekkich podmuchach wiatru. Upajałem się zapachem świerków, świeżego siana i rozbryzgujących się po kamieniach fal Dunajca. Księżyc to wychodził, to znowu chował się na zmianę za chmurkę, lub czubki świerków.

Nie była to podróż męcząca, gdyż byłem do takich marszy przyzwyczajony. Chodząc jako listonosz z listami po wsiach robiłem dużo więcej kilometrów. Nie było to więc dla mnie nic nadzwyczajnego.

Ślub cywilny wzięliśmy w Rzeszowie. Świadkiem na ślubie był por. Król. Pracowaliśmy razem na stacji WCz i nawet się zaprzyjaźniliśmy. Niezbyt wiele potrafił ten człowiek zrobić, gdyż słabo znał aparaturę, ale był uczciwy. Charakterystyczne dla niego było to, że bardzo szybko mówił i trudno było go zrozumieć.

Umówiłem się z Ludką, że gdy się pobierzemy to zamieszkamy w Mielcu i wspólnie razem będziemy pracować i dorabiać się. Zakładałem, że podejmę pracę w WSK w Mielcu,

gdy weźmiemy ślub kościelny to poproszę o zwolnienie z pracy w Rzeszowie. Z pracą nie było w tym czasie kłopotów i kto chciał mógł ją dostać i pracować. Liczyłem, że na pewno i Ludka ją dostanie. Zakładałem, że jak wezmę ślub kościelny, zgłoszę o tym fakcie w raporcie i poproszę o zwolnienie, to na pewno mnie zwolnią, a może nawet z hukiem wyrzucą z pracy. Przestałem się ich bać i było mi już wszystko jedno.

Ślub kościelny wzięliśmy w Boże Narodzenie 26.XII.1954 w małym drewnianym kościółku w Krościenku. Mam w pamiątkach kilka fotografii ze ślubu. Byłem wtedy po wielu latach znowu do spowiedzi. Zakaz kontaktów z kościołem i praktyk religijnych obowiązywał. W środowisku, w którym się obracałem było to nie tylko czynem nagannym, ale wręcz przestępstwem. Przestępstwem było nawet korespondować z kimś za granicą, lub mieć tam rodzinę. Pamiętam kiedy jeszcze byłem w szkole dwu naszych kolegów poszło do ambasady amerykańskiej na jakiś film oświatowy. Ambasada wyświetlała u siebie podobne filmy, na które wstęp był wolny dla wszystkich. Gdy odkryto, że ci dwaj tam byli, zrobił się szum na całą szkołę i mało co nie wyrzucili ich ze szkoły. Przed ambasadą amerykańską fotografowano z ukrycia wszystkich tam wchodzących.

Tak więc w wieku 27 lat stałem się żonatym mężczyzną. Po przyjeździe do Rzeszowa natychmiast przystąpiłem do działania. Wystąpiłem o zwolnienie z pracy. Motywowałem to faktem, że właśnie zawarłem ślub kościelny, mam w Przecławiu Mamę i że się nie widzę w Rzeszowie, bo chcę pracować w Mielcu. Taki mniej więcej raport wysłałem drogą służbową do kadr przez swojego Naczelnika Wydziału Łączności WUBP w Rzeszowie Kpt. Milcarka.

Z naczelnikiem kpt. Milcarkiem okazała się zabawna historia. Nie wiem czy on zaopiniował mój raport pozytywnie czy nie, ale wkrótce zostałem wezwany do kadr. Przyjął mnie jakiś cywil i rozmowa potoczyła się tak.

--- Słuchajcie towarzyszu, napisaliście raport o zwolnienie i podaliście przyczynę ślub kościelny. Oczywiście zrobiliście bardzo źle, ale usprawiedliwia was fakt, że jesteście szczerzy i wyjawiliście wszystko uczciwie, w odróżnieniu od waszego naczelnika Milcarka. Ten wasz naczelnik ślub kościelny wziął po kryjomu, nie przyznał się i długo zatajał ten fakt. W dodatku ożenił się z kobietą obcą nam klasowo, gdyż jest bogata i posiada dom. My do was nic nie mamy, jeśli chcecie, to ten raport zniszczymy i możecie dalej u nas pracować.

Tak więc okazało się jeszcze raz, że kiedy oni potrzebują człowieka, to nie liczy się wtedy nawet ideologia. Sądzę że na pewno mnie potrzebowali, gdyż w Rzeszowie z tych którzy coś umieli byli tylko Bielecki i Faber. Ci dwaj nie sprzeciwiali się jednak mojemu odejściu, chociaż z 4-letnią praktyką na stacji WCz w Warszawie znałem zagadnienia techniczne lepiej niż oni. Być może uznali, że abym nie zagrażał ich awansom w przyszłości to lepiej żebym odszedł.

Kadrowiec po rozmowie ze mną, kiedy stwierdził, że nieustępliwie domagam się zwolnienia krzyknął.

--- Pamiętajcie, będziecie jeszcze żałować i rzucił pistoletem z jednego rogu stołu w drugi.

Zrozumiałem to doskonale, bo wiedziałem, że groźby spełniają, tytko nigdy obietnic. Dowiedziałem się później od por. Króla, że z Milcarkiem to było tak. Ożenił się on bogato, ale rodzina jego żony zmusiła go żeby wziął ślub kościelny. Było to gdzieś w okolicach Rzeszowa. Wywęszyło to Biuro d/s Funkcjonariuszy i dobrali mu się do skóry. Zwolnili go z pracy, ale fakt, że bogato się ożenił wszystko mu wynagrodził.

Wkrótce po tym otrzymałem oficjalne pismo o zwolnieniu z pracy. Był już rok 1955 i wyraźnie widać było, że zbliża się następna odwilż.

Konsekwentnie realizowałem swój plan. Zatelefonowałem po linii WCz do dyrektora WSK w Mielcu ówczesnego pana Gronka. Przedstawiłem się, że jestem technikiem z WCz i chciałbym pracować w mieleckiej WSK. Zapisał sobie moje dane personalne i obiecał, że pracę mam załatwioną.

Tak więc po latach morderczej służby na WCz stałem się wreszcie człowiekiem wolnym. Dzięki sprzyjającym okolicznościom i własnym instynktom samozachowawczym uniknąłem najgorszego i zrzuciłem z siebie pętlę wiążącą moją wolę. Pozostał jednak inny aspekt bardzo ważny dla mojego bezpieczeństwa i ciągnący się przez następne lata. Tym aspektem były posiadane przeze mnie tajemnice. Łatwo wyobrazić sobie, że pracując samodzielnie i zawiadując całością łączności Wcz w Kraju musiałem o niej wiedzieć wszystko i to nie tylko od strony technicznej, ale także organizacyjnej. Poszedłem nawet dalej i poznałem tajemnicę aparatury AS. Były to elementy bardzo dla mnie niebezpieczne. W prawdzie rezim zelżał i nie można było zlikwidować mnie fizycznie, jak to zrobiono by za Cwejmana, ale musieli zadbać, aby posiadane przeze mnie tajemnice nie dostały się w niepowołane ręce. Poniżej opowiem o tym jak to się działo.

Pracę w WSK Mielec rozpocząłem 13 maja 1955 roku i skierowany zostałem na wydział montażu ostatecznego W56. Przydzielono mnie do grupy osprzętu lotniczego, gdzie wraz z kilku innymi montowałem w kabinie urządzenia radiowe. Już po kilku tygodniach pracy zorientowałem się, że współpracownicy wiedzą, że pracowałem w MBP. Nie kryłem się z tym i potwierdzałem, że pracowałem w łączności. Nie mówiłem z czym miałem do czynienia, więc nie zdradzałem tajemnic. Ciągłe kręcił się za mną pewien przyjazny mechanik Bąk Władysław, udzielając mi informacji i usłużny w pomocach. Opowiadał mi o panujących stosunkach co było dużą pomocą. Był dużo starszy ode mnie, a będąc w egzekutywie Wydziału 56 wspominał o kontaktach z partorgiem KC PZPR o nazwisku Kamiński. Powiedział mi, że w technikum zakładowym organizowane są semestry zaocznego Technikum Elektrycznego i że on i wielu zapisało się do tego technikum, aby uzupełnić średnie wykształcenie. Namawiał mnie tak usilnie do owego technikum, że pomyślałem sobie, iż nic nie szkodzi jeśli ukończę 2 ostatnie semestry o kierunku Napędy Elektryczne w celu rozszerzenia własnych niskoprądowych kierunków elektrycznych. Zapisałem się do owego technikum, gdzie poznałem wielu przyjaznych mi ludzi. Byli nimi kontrolerzy z Wydziału 56 i 57 Start i Radiolatarni. Jednak największym zaskoczeniem było dla mnie, kiedy po miesiącu zapisali się na semestr pracownicy Zakładowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Załuski – szef ZUBP, Żak, Barczyk Tadeusz i Kunc Tadeusz, oraz I sekretarz KP PZPR Michał Cygan. Niemal wszyscy z nich byli podobnie zacofani w nauce, jak ja przed rozpoczęciem nauki w Warszawie. Domagali się pomocy w nauce i stąd kilku z nich stało się moimi przyjaciółmi. Kiedy analizuję ten moment dochodzę do wniosku, że nie tylko chodziło o naukę, ale przede wszystkim o takie zbliżenie się do mnie, aby śledzić z kim się zadają, a jednocześnie odstraszać od mojej osoby ludzi niepewnych ideowo. Chodziło bowiem o bezpieczeństwo tajemnic w mojej głowie.

Zmiany przyniósł rok 1956-ty. Były to zmiany polityczne w kraju i w moim życiu. Władzę polityczną przejął w Polsce Władysław Gomułka rozwiązując MBP, natomiast ja przeniesiony zostałem na Wydział 57 Start, gdzie wraz z dwoma innymi wykonywać miałem przed oblotem próby radiodalmierza na nowej wersji samolotu Mig.

Cały czas czułem w sobie ciężar noszonych tajemnic i chyba instynktownie przyjąłem, że bezpieczniejsze dla mnie jest, jeśli za przyjaciół mam ludzi przez których odpowiednie służby wywiadowcze wiedzą, że posiadane we mnie tajemnice są bezpieczne. Oni zrobili wszystko, żeby wokół wiedziano, że jestem ich człowiekiem, aby wrogie elementy do mnie się nie zbliżały. I to jest odpowiedź na pytanie dlaczego przeżyłem, mając tą ich tajemnicę w głowie. Analizując zawdzięczam to oprócz opatrności, także własnemu instynktowi samozachowawczemu. Wiadomo mi było, że ten system tajemnic łączności nie mógł się zmienić wraz ze zmianą politycznych władz, bo było to ze względów technicznych niemożliwe.

Ten system łączności przetrwał zapewne jeszcze przez wiele lat. Wprawdzie przeżyłem, ale poniosłem ogromną ofiarę, gdyż wielu w pracy podchodziło do mnie z rezerwą uważając mnie za UB-ka.

Ciąży to na mnie do obecnej chwili, a mam już 91 lat. Wielu ludzi w zależności od potrzeb wykorzystuje ten fakt. Nie widzę nawet sensu, aby tłumaczyć się, że nikomu z tego powodu nie zrobiłem krzywdy i że mam pod tym względem spokojne sumienie. Nigdy też nie wykorzystalem do awansu społecznego faktu swej pracy w MBP, podobnie jak zrobiło to wielu mi znanych osób. Gdybym to wykorzystał mógłbym w tym systemie komunistycznym zajść wysoko. Jednak ja przez pracę tam, tak ów system znienawidziłem, że wolałem zostać na dole. Byłem mechanikiem lotniczym, brygadzystą, kontrolerem i starszym mistrzem, ale zawsze podkreślam że byłem mechanikiem lotniczym.

Byłem w wielu krajach świata, ale każdy mój zagraniczny wyjazd, czy do Indonezji, Indii, Egiptu, Sudanu, Algierii, Związku Radzieckiego, czy Kanady podyktowany był ciężką pracą mechanika, której nikt nie mógł zastąpić. Podobnie było z reklamacjami na które wyjeżdżałem w kraju. Dotyczy to szczególnie reklamacji na urządzenia radarowe samolotów Lim 5P, rosyjska nazwa MiG 17PF. Nie chwałac się, nie poradziłby sobie praktycznie na reklamacji z urządzeniem RP-5 żaden z inżynierów pracujących w WSK. Tylko nasza trójka, Kułakowski, Niedużak i ja mogli sobie z tym poradzić. Mieliśmy wypracowane od kilku lat sposoby radzenia sobie z tym urządzeniem. Wkrótce pozostałem tylko ja.

Mam wiele wspomnień ze swych zagranicznych wyjazdów, tak jak całe moje życie. Opisałem je wraz ze zdjęciami na około 1000 stron A4. Chyba nie nadeszła jeszcze pora, aby to opublikować. Opublikowałem jedynie dwie książki pt. „100 Lat Przygody Mielca z Lotnictwem” i „Notatnik Syberyjskiego Zesłańca”

Teofil Lenartowicz

Mielec, dnia 18 października 2018.